Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 31. Sierpnia 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 31.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

Litwos.

(Ciąg dalszy).

VII.

Zatrzymaliśmy się dopiero u podnóża gór Skalistych.

Strach mnie ogarniał, gdym spoglądał zbliska na ów cały świat granitów, którego boki upowite są mgłami, a szczyty giną gdzieś w wiecznych śniegach i chmurach. Ogrom ich i milczący majestat przygniatał mnie do ziemi, więc korzyłem się przed Panem, prosząc Go, aby mi zezwolił przeprowadzić, przez te niezmierne mury, moje wozy, moich ludzi i moją żonę ukochaną. Po takiej prośbie śmielej zapuściłem się w kamienne gardła i kurytarze, które gdy zamknęły się za nami, byliśmy od reszty świata odcięci. Nad nami niebo, na niem kilka orłów krążących, koło nas wiecznie granit i granit, prawdziwy labirynt przejść, sklepień, jarów, rozpadlin, przepaści, wież, milczących gmachów i jakby olbrzymich uśpionych komnat. Taka tam uroczystość, i dusza pod takim kamiennym uciskiem, że człowiek sam nie wie, dlaczego, zamiast mówić głośno, szepce po cichu. Zdaje się, że droga ciągle zamyka się przed nim, że jakiś głos mówi mu: nie idź dalej, bo tam już nie ma przejścia! — zdaje mu się, że gwałci jakąś tajemnicę, na której Bóg sam położył pieczęć. Nocami, gdy te sterczące zastępy stawały się czarne, jak kir, a księżyc obrzucał srebrnym żałobnym szlakiem ich szczyty, gdy jakieś dziwne cienie powstawały ze „śmiejących się wód", dreszcz przejmował najhartowniejszych awanturników. Godziny całe spędzaliśmy przy ogniskach spoglądając z jakimś zabobonnym przestrachem w czarne, oświetlone krwawym blaskiem głębie wąwozów, jakby w oczekiwaniu, że coś strasznego ukaże się z nich lada chwila.

Raz znaleźliśmy pod wgłębieniem skały skielet człowieka, a choć z resztek włosów, przyschniętych na czaszce, i z broni poznaliśmy, że był indyjski, jednak złowróżbne uczucie ścisnęło nasze serca, bo ten trup z wyszczerzonemi zębami zdawał się nas ostrzegać, że kto się tu zabłąkał, ten już nie wyjdzie. Tego samego dnia Metys Tom zabił się na miejscu, spadłszy wraz z koniem z krawędzi skalnej. Smutek jakiś ponury ogarnął cały tabór; dawniej jechaliśmy gwarno i wesoło, teraz nawet woźnice przestali kląć i karawana posuwała się w milczeniu, przerywanym tylko skrzypieniem kół. Muły też narowiły się coraz częściej, a gdy jedna para stawała, jak wryta, wszystkie wozy, idące za nią, musiały się zatrzymywać. Najgorzej gryzło mnie to, że w tych chwilach tak ciężkich i trudnych, w których żona potrzebowała więcej, niż kiedykolwiek, mojej obecności i poparcia nie mogłem być przy niej, bo prawie musiałem się dwoić i troić, aby dawać przykład, krzepić odwagę i ufność. Ludzie przenosili wprawdzie trudy z wytrwałością, Amerykanom wrodzoną, ale po prostu gonili resztą sił. Jedno tylko moje zdrowie wytrzymywało wszystkie trudy. Bywały noce, że i dwóch godzin nie miałem odpoczynku; ciągałem wozy wraz z innymi, ustawiałem straże, objeżdżałem majdan, słowem: pełniłem służbę, dwa razy jeszcze cięższą, niż każdy z ludzi; ale, widać, szczęście dodawało mi sił. Bo też, gdym strudzony i zbity przychodził wreszcie do mego wozu, znajdowałem tam wszystko, com miał na świecie najdroższego, serce wierne i ukochaną rękę, która ocierała moje unzojone czoło. Lilian, choć cierpiąca trochę, nie zasypiała umyślnie nigdy przed mojem przybyciem, a gdym jej czynił o to wymówki, usta zamykała mi całowaniem i prośbą, abym się nie gniewał na nią. Gdym ją ułożył już do snu, usypiała, trzymając mnie za rękę. Często w nocy, gdy się zbudziła, otulała mnie skórami bobrowemi, bym się wywczasował lepiej. Zawsze łagodna, słodka, kochająca i dbała o mnie, doprowadziła mnie do tego, żem ją poprostu ubóstwiał i całowałem brzegi jej sukni, jakby rzecz jaką najświętszą, a ten nasz wóz zmienił się dla mnie w kościół prawie Taka malutka wobec tych niebotycznych ścian kamiennych, po których wodziła wzniesionemi oczyma, zakryła mi je jednak tak, że przy niej niknęły z moich oczu, i że wśród tych ogromów ją samą tylko widziałem. Cóż dziwnego, że gdy innym brakło sił, ja miałem je jeszcze i czułem, że póki o nią będzie chodziło, nigdy mi ich nie zbraknie.

Po trzech tygodniach drogi, dostaliśmy się wreszcie do obszerniejszego kanionu, który tworzy rzeka Biała. U wejścia do niego Indjanie z pokolenia Uintah przygotowali nam zasadzkę która zmieszała nas cokolwiek. Ale, gdy ich czerwonawe strzały poczęły dosięgać aż na dach wozu mojej żony, uderzyłem na nich wraz z ludźmi z taką natarczywością, że natychmiast poszli w rozsypkę. Wybiliśmy ich trzy czwarte. Jedyny jeniec, jakiego wzięliśmy żywcem, młody szesnastoletni chłopiec, przyszedłszy trochę do siebie ze strachu począł, ukazując kolejno na nas i na zachód, powtarzać też same giesta, jakie czynili Yampasowie. Zdawało nam się, że chce powiedzieć, iż biali ludzie znajdują się w pobliżu, ale domysłowi temu trudno było dać wiarę. Tymczasem okazał się on prawdziwym, i łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i radość moich ludzi, skoro drugiego dnia, zjeżdżając z wyniosłej płaszczyzny, ujrzeliśmy na dnie obszernej doliny, leżącej u stóp naszych, nietylko wozy, ale i domy, pobudowane z okrąglaków, świeżo wyszłych z pod siekiery. Domki te tworzyły koło, w środku którego wznosiła się obszerna szopa bez okien: środkiem doliny płynął strumień, przy nim błąkały się stada mułów, strzeżone przez konnych ludzi. Obecność istot mojej rasy w tem miejscu przejęła mnie zdumieniem, które wkrótce przeszło w trwogę, gdym pomyślał, że to mogą być „Autlawy", chroniący się na pustynię po dopełnionych zbrodniach przed karą śmierci. Wiedziałem już z doświadczenia, że podobne wyrzutki

ze społeczeństwa posuwają się często w kraje bardzo odległe i zapełnie puste, gdzie tworzą oddziały, mające doskonałą wojenną organizację. Częstokroć bywali oni nawet założycielami nowych jakoby społeczeństw, które początkowo żyły z rozbójniczych wypraw w kraje ludniejsze, później zaś, przy coraz większym napływie ludności, zmieniały się stopniowo w rządne stany. Spotykałem się nieraz z „Autlawami“ na górnym biegu Mississipi, gdy, jako skwater, spławiałem drzewo do Nowego-Orleanu, i nieraz krwawe miewałem z niemi zajścia, okrucieństwo więc ich i bitność były mi również znane dobrze.

Nie obawiałbym się ich, gdyby między nami nie było Lilian, ale na myśl o niebezpieczeństwie, w jakieby popadła ona w razie przegranej bitwy i mojej śmierci, włosy powstawały mi na głowie, i pierwszy raz w życiu bałem się, jak ostatni tchórz. A byłem przekonany, że jeśli to są „Autlawy“, to żadną miarą nie unikniemy bitwy, sprawa zaś będzie trudniejsza, niż z Indjanami.

Natychmiast więc, ostrzegłszy ludzi o prawdopodobnem niebezpieczeństwie, uszykowałem ich do boju. Byłem gotów, albo sam zginąć, albo wybić co do nogi to gniazdo szerszeni i tym celem postanowiłem pierwszy na nich uderzyć. Tymczasem z doliny spostrzeżono nas, i dwóch jeźdźców puściło się, co koń wyskoczy, ku nam. Odetchnąłem na ten widok, bo „Autlawy“ nie byliby przecie wysyłali poselstwa. Jakoż okazało się, że to byli strzelcy kompanji amerykańskiej, handlującej futrami, którzy w tem miejscu mieli swój obóz letni, czyli tak zwany „summer-camp“. Zamiast więc bitwy czekało nas najgościnniejsze przyjęcie i wszelka pomoc ze strony tych surowych ale poczciwych strzelców pustyni. Jakoż przyjęli nas z otwartemi rękoma; my zaś dziękowaliśmy Bogu, że wejrzawszy na nędzę naszą, zgotował nam odpoczynek tak słodki. Oto już półtrzecia miesiąca upływało, jak opuściliśmy Big Blue River, siły nasze były wyniszczone, muły nawpół żywe; tu zaś mogliśmy wypocząć znowu z tydzień jaki, we wszelakiem bezpieczeństwie, przy obfitości pokarmu dla nas, a paszy dla naszych zwierząt.

Było to poprostu dla nas zbawienie. Mister Thorston, naczelnik obozu, człowiek z wychowaniem i światły, poznawszy, iż i ja nie jestem zwykłym gburem stepowym, poprzyjaźnił się ze mną odrazu i ofiarował swoj domek na mieszkanie mnie i Liljan, której zdrowie cierpiało coraz mocniej.

Dwa dni przetrzymałem ją w łóżku. Tak już była utrudzona, że przez pierwszych dwadzieścia cztery godzin nie otworzyła prawie oczu; ja przez ten czas czuwałem, aby nic nie mięszało jej spoczynku, przesiadując przy jej łożku i wpatrując się w nią całemi godzinami. Po dwóch dniach była już tak wzmocniona, że mogła wychodzić; ale nie pozwoliłem się jej tknąć żadnej roboty. Ludzie też moi przez pierwsze kilka dni spali, jak kamienie, gdzie który upadł poczem dopiero wzięliśmy się do naprawy wozów odzienia i do prania bielizny. Poczciwi strzelcy pomagali nam we wszystkiem szczerze. Byli to po największej części Kanadyjczycy, najmujący się kompanji handlowej. Zimę spędzali na łowach, łapiąc we wniki bobry, bijąc zkunksy i kuny, latem zaś ściągali się do tak zwanych „summer-camps“ czyli letnich obozów, w których bywały czasowe składy futer. Przyrządzone tam jako tako skóry szły dopiero pod konwojem na wschód. Służba tych ludzi, najmujących się na kilka lat, była nad wszelki wyraz ciężka; musieli bowiem udawać się w okolice niezmiernie odległe i dziewicze, gdzie wszelki zwierz znajdował się wprawdzie w obfitości, ale gdzie żyli w ciągłych niebezpieczeństwach i ustawicznej wojnie z czerwonoskórymi. Pawda, że otrzymywali za to wysoką zapłatę; większość ich jednak służyła nie dla pieniędzy, ale z miłości do życia w pustyniach i do przygód, których nigdy nie brakło. Był też to wybór ludzi wielkiej siły i zdrowia, zdolnych do znoszenia wszelkich trudów. Widok ich ogromnych postaci, futrzanych czapek i długich karabinów, przypomniał żonie mojej powieści Coopera, które czytywała w Bestonie; dlatego też patrzyła z wielką ciekawością na cały obóz i na wszystkie ich urządzenia. Karność, której sami przestrzegali, panowała między nimi taka, jakby w zakonie rycerskim, i Thorston główny agent kompanji, a zarazem patron ich, dzierżył władzę zupełnie wojskową. Byli to przytem ludzie niezmiernie poczciwi, dlatego czas upływał nam wśród nich doskonale; nasz tabór podobał im się również bardzo, i mówili, że nigdy jeszcze nie spotkali tak karnej i porządnej karawany. Thorston chwalił wobec wszystkich mój plan podróży drogą północną, zamiast na St-Louis i Kanzas. Opowiadał nam, że karawana, złożona ze trzystu głów, która poszła tamtędy pod wodzą niejakiego Marcwooda, po licznych cierpieniach z powodu upału i szarańczy, straciła zwierzęta pociągowe, a wkońcu została w pień wycięta przez Indjan Arapahoe'ów. Szczelcy kanadyjscy wiedzieli to od samychże Arapahoe'ów, których z kolei wybili mocno w wielkiej bitwie i odebrali im przeszło sto skalpów, a między innemi i skalp Marcwooda. Wiadomość ta wpłynęła silnie na moich ludzi, tak, że sam stary Smith, najwytrawniejszy włóczęga, który z początku przeciwny był drodze na Nebraskę, powiedział mi wobec wszystkich, że jestem więcej „smart“ od niego, i że uczyć mu się przy mnie. Przez czas pobytu w gościnnym letnim obozie, odzyskaliśmy zupełnie siły. Prócz Thorstona, z którym stałą zawarłem przyjaźń, poznałem tam także sławnego na całe Stany Micka, który nie należał do obozu, ale samotrzeć, wraz z dwoma głośnemi wnicznikami: Lincolnem i Kidem Carston'em, włóczył się po pustyniach. Dziwni ci ludzie we trzech prowadzili prawdziwe wojny z całemi pokoleniami indyjskiemi, i zręczność ich, oraz nadludzka odwaga, zawsze zapewniły im zwycięztwo. Imię Micka, o którym napisano dziś niejedną książkę było tak strasznem Indjanom, że słowo jego więcej znaczyło dla nich, niż traktaty z rządem Stanów. Rząd też często używał go do pośrednictwa, a w końcu zamianował gubernatorem Oregonu. Gdym go poznał, miał już lat blisko pięćdziesiąt, ale włosy jego czarne były, jak pióro kruka, a w spojrzeniu mięszała się dobroć serca z siłą i niepohamowaną śmiałością. Uchodził przytem za najsilniejszego mężczyznę w całych Stanach, i gdym się z nim próbował, pierwszym byłem, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, którego nie mógł powalić o ziemię. Człowiek ten z wielkiem sercem polubił niezmiernie Lilian i błogosławił ją, ilekroć nas odwiedzał, na odjezdnem zaś podarował jej parę ślicznych maleńkich mokasinów, wyrobionych przez niego samego ze skóry daniela. Podarunek ten przydał się bardzo, bo biedactwo moje nie miało już żadnej pary całych trzewików.

Wyruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę, pod dobrą wróżbą, opatrzeni w dokładne wskazówki, jakich kanionów trzymać się w pochodzie, i w zapasy solonej zwierzyny. Nie dosyć na tem! Zacny Thorston pozabierał co gorsze nasze muły, a dał nam natomiast swoje silne i od dawna wypoczęte. Przytem Mick, który był już w Kalifornji opowiadał nam cuda prawdziwe, nie tylko o jej bogactwie, ale o słodkiem powietrzu, o ślicznych lasach dębowych i kanionach górskich, jakim równych nie ma w całych Stanach. Zaraz więc wielka otucha wstąpiła nam w serca, bo nie wiedzieliśmy o krzyżach, które czekały nas przed dojściem do tej ziemi obiecanej. Odjeżdzając, długo powiewaliśmy kapeluszami na „remember“ poczciwym Kanadyjczykom. Co do mnie, dzień ten odjazdu na wieki został wyryty w mem sercu, tego bowiem jeszcze południa ukochana gwiazdka mojego życia, objąwszy mnie obu rękami za szyję, poczęła cała czerwona ze wstydu i wzruszenia, szeptać mi do ucha coś takiego, co gdym usłyszał, schyliłem się do jej nóg i płacząc z wielkiego wzruszenia, całowałem kolana tej już nie tylko żony mojej, ale i przyszłej matki mego dziecięcia. (C. d. n.)

ŻYCIE LITERACKIE

W STAROŻYTNYM RZYMIE.

SZKIC LITERACKI

przez

Stanisława Wegnera.

(Ciąg dalszy).

Najlepszym a zarazem najbardziej znanym przykładem tego rodzaju jest niewolnik Tiro przywiązany do Cicerona, współpracownik jego i przyjaciel.

„Głucho w moim domu — powiada Cicero kiedy Pompejusz będąc u niego w gościnie pragnął, żeby mu kto odczytał pewne dzieło Cicerona, a Tirona (wówczas jeszcze niewolnika) nie było, bo był chory. „Do niego pisze Cicero: „Niezliczonemi są twoje przysługi dla mnie, co do spraw domowych i sądowych, miejskich i prowincjonalnych, w okolicznościach zaś prywatnych i publicznych, co do studjów i nauki.“ Choć Tiro był poufnym Cicerona pod każdym względem najważniejsze przysługi wyświadczał mu jako sekretarz. Wynalazł on system skróconego pisma, albo tachygrafji, co mu dozwoliło pisać tak szybko jak mówiono; ten to system, nie tylko że później ogólnie używano, ale i nadzwyczaj wydoskonalono. Ostatnia ta zasługa Tirona spowodowała mnie właśnie do wyszczególnienia tego przykładu ludzi, nawet w stanie niewolnictwa swym panom niezbędnych, przyjaźnią z niemi złączonych i szanowanych, a właścicielowi swemu koniecznych. Jak tachygrafja w użycie weszła, wskazują następujące wiersze pewnego poety z wieku augustowskiego:

> Maniljusz powiada w swem Astronomikon;
> Oto płynny ów pisarz kładzie litery za słowa,
> W biegu rozmowy język pokonywa znakami,
> Całe słowa obejmie w tem ulubionem skróceniu.

Szereg takich niewolników, podległych na ślepo rozkazom pana, wyuczonych skróconego pisma albo umiejących przeczytać je inną ręką skreślone, a mianowicie pismo swego pana mógł

już sam z siebie stworzyć okazałą kancelarję domową. Autorowie używali ich także do przepisywania swych własnych dzieł, które w ozdobnem wydaniu przyjaciołom swym ofiarować chcieli, do przepisywania wiadomości, które miały w kilka miejsc równocześnie przybyć, nadto do kopjowania dzieł niewydanych jeszcze w handlu księgarskim lub nowo wydanych.

Wkrótce jednak przy ciągle wzmagającej się liczbie utworów literackich z jednej, a chciwych czytelników z drugiej strony, wpadli ludzie na pomysł zarobkowego spożytkowania takich sił.

Już za czasów Cicerona egzystował uczony i do stanu rycerskiego należący księgarz i wydawca pism swych współczesnych. Był nim przyjaciel i doradzca Cicerona, Pomponiusz Attykus. Ten utrzymywał wielką llczbę zręcznych kopistów, których po części sam sobie do tej pracy wykształcił. Tym sposobem zaspokajał nie tylko swoją własną namiętność do książek, lecz zarabiał jeszcze przez sprzedawanie kopji, z których niektóre, jak mowy i pisma Cicerona, ogromny pokup miały i znaczny mu zysk przynosiły. Zapewne, że Attykus nie był pierwszym księgarzem w Rzymie, lecz zdaje się, że nikt przed nim nie prowadził interesu na taką skalę i z takimi środkami jak on. Później z potrzebą pomnożyła się liczba przepisywaczy i księgarzy niezmiernie. Bracia Sozjusze, o których wspomina Horacjusz, a którzy reprezentowali jedną z najsłynniejszych firm tego rodzaju, mieli skład swój w Argiletum przy rynku cezarjańskim, blisko posągu Janusa i świątyni Vertumnusa.

Na placu tym, a zapewne i w wielu innych cyrkułach miasta musiała się liczba księgarzy w następującem stuleciu ogromnie powiększyć. Składy ich (tabernae, librariae), zajmowały często fronty całej części ulicy. Prócz wyżej wymienionego placu, wskazują Gellius i Galenus na Vicus Sandalarius jako główne siedlisko księgarzy, którzy już wówczas nosili miano bibliopolae. Nazwiska niektórych z tych firm przechowały się, aż do naszych czasów. Tak sam Martialis cztery z nich wymienia. Pierwszy znajdował się, jak niegdyś sklep braci Sozjuszów, na Forum, niedaleko świątyni Vertumnusa. Wymarzonemu człowiekowi starającemu się o gratisowy egzemplarz jego epigramatów odpowiada Martialis w jednym epigramacie, mogącym następnie służyć za poetycką reklamę:

„Na przeciwko placu Cezara we składzie,
Spostrzeżesz zapisane podwoje,
Tam możesz wzrokiem przebiegnąć poetów,
Tam mnie zażądaj! Nie szukaj, Atrekcie,
Bo tak się zowie właściciel taberny.

Sławny Tryphon był Martialisa jak i Quinctiliana wydawcą. Rozumie się samo przez się że księgarstwo tak jako sortymentowy jak i nakładowy interes było prowadzone, nie brakło też handlarzy książkami na małą stopę, kramarzy książkowych, nawet antykwarzy.

Nietylko z wyżej przytoczonego ustępu, ale i z okolicznościowych notatek wielu innych autorów możemy poznać, że podwoje, słupy i kolonady wychodzące na ulicę, pokryte były księgarskiemi ogłoszeniami, a zapewne i cennikami wystawionych tam na sprzedaż książek. Książki albo rolki zaś leżały w sklepach albo magazynach, należące do siebie egzemplarze razem na półkach zwanych gniazdkami (nidi).

Tylko oprawne egzemplarze przechodziły w handel, co było z korzyścią dla interesu, na jaką księgarze dopiero w najnowszym czasie napowrót wpadli. Formą książek była, jak o tem się przekonywamy z wykopalisk pompejańskich, rolka rozumie się rozmaitego formatu. Najwięcej pisano na liściach rośliny papyrusowej i zapisywano jednę tylko stronę. Do ostatniej karty przymocowywano kij albo rurkę, około której całość się owijała.

Brzegi obrzynano starannie, gładzono pumesem i pomazywano na czarno. Dla ochrony przed powalaniem i zewnętrznem uszkodzeniem, służyła okładka z pargaminu farbowanego na zewnątrz purpurowo lub żółto i miała na sobie przylepiony kawałek papieru albo pargaminu, z wypisanym na nim tytułem książki. Tylko książki szkolne, albo inne mniej szacowne dzieła ochraniano nie tak starannie, ztąd pojąć można, że elegancja zewnętrznej wyprawy nietylko przy rozmaitych egzemplarzach tego samego nakładu, ale i u rozmaitych nakładców wielce była różną.

Nie tylko w Rzymie, ale i po za Rzymem było wiele księgarni. Plinjusz młodszy wyraża w jednym ze swych listów radość z tego powodu, że pisma jego w Lugdunum (Lyon), o którem nie wiedział nawet, że ma księgarzy, tak doskonały mają odbyt. Wspominają też o księgarzach w Aleksandrji, Brundusium, Vienne. Już Horacjusz mówi o rozpowszechnieniu po za morzami, jakie spotyka dobrą książkę; samochwalczo zaś, podnosi Martialis wielkie rozejście się swych epigramatów na wielu miejscach. Lokale handlowe albo składy księgarzy były zarazem ulubionem miejscem schadzek dla autorów, poetów i miłośników literatury. Tak jak teraz pożądano nowości, a te musiały szybko następować po sobie, ażeby utrzymać interes w ruchu. Dlatego byli autorowie, których dzieła należały do bardzo czytywanych, wielokrotnie od księgarzy nabywani i upraszani, ażeby napisali coś nowego. Już z tego wypływa i wspominają też o tem wyraźnie, że autorom płacono honorarja. Starsze książki albo dzieła, które się publiczności nie podobały, oddawano po zniżonej cenie, rozsyłano po prowincjach, sprzedawano szkołom, rzeczywiste zaś szpargały zapewne i jako makulaturę kramarzom i profesjonistom sprzedawano. O zastrzeżeniu duchowej własności autora i nabytego prawa wydawnictwa prac pojedynczego księgarza, nie wiemy nic. Pewną jest tylko rzeczą, że zachodziły czasami podobnego rodzaju oszustwa. Galen znalazł np. w pewnym składzie pismo nie pochodzące wcale od niego, które wydano i sprzedawano pod jego imieniem. To spowodowało go do wydania spisu swych dzieł. Że prywatne osoby często sobie starsze lub nowsze dzieła przepisywać dawały, jest pewną rzeczą, że nawet księgarze dobrze opłacające się artykuły cudzego nakładu, często na własny rachunek przepisywać kazali, zamiast nabywać je od nakładcy, jest rzeczą bardzo prawdopodobną. Zapewne dlatego tylko nigdzie o tem nie wspominają, że w postępowaniu tem nie widziano nic sprzeciwiającego się prawom. Wszak i w dzisiejszym świecie od niedawna dopiero zaczęto ściślej przestrzegać praw autora i nakładcy.

Takie, w dzisiejszem pojęciu przedrukom odpowiadające, nieprawne przez innych księgarzy stale prowadzone rozmnażanie książek, przynosiły zapewne czasami nakładcom szkody dotkliwe, nie można zaś przypuszczać, że kazano niektóre dzieła prywatnym ludziom kopjować. Częściową obronę przeciw takiemu nieprawnemu postępowaniu, ale i przeciw uprawnionej konkurencji swoich kolegów mogli zyskać nakładcy zaraz przy pierwszem ukazaniu się dzieła, przez jak najszybsze rozesłanie tego artykułu i jak najtańsze ceny.

Pojedynczych odpisów nie mogli zapewne sprzedawać przedtem, nim wielką ich ilość w handlu wyłożyć mogli, których sprzedaż im już koszta nakładu powróciła.

Jak więc można było to wszystko, a mianowicie tę masę odpisów uskutecznić?

(C. d. n).

O POŻYWIENIU

według

Oskara Peschla.

Wyobrażenie o pierwotnym szczęśliwym stanie ludzkości znajdujemy u wszystkich ludów. Wynikły one z bardzo naturalnego uczucia, że walka o byt, praca codzienna ciężką i przykrą jest dla człowieka; że tenże zużywając wszystkie swoje siły, częstokroć nie jest wstanie nietylko rodzinie, ale nawet i samemu sobie codziennego zabezpieczyć wyżywienia. Ale wyobrażenia te powstały już wtenczas, kiedy ludzkość na wysokim stopniu rozwoju się znajdowała, kiedy podział pracy wrodził różnicę między bogaczem a biednym. Jestto uczucie miłości bliźniego, tęsknota za lepszym szczęśliwszym stanem chcąca znaleść zadowolenie w przeszłości, tęsknota do ideału ludzkości przeniesionego w dawne, minione wieki. Idea ta pozostała w czasach historycznych. Jest to dowodem, że już od wieków rozmyślali ludzie nad tem, gdzie ich pierwotna stała kolebka. Nasuwała im się myśl, że odwieczna siedziba naszego rodzaju musi być tam, gdzie natura hojnie uposażywszy ziemię, pełną ręką daje zaspokojenie codziennych potrzeb. Ani zimne kraje północy, ani też dzikie piaski pustyni Sahary nie odpowiadały warunkom, jakie sobie wyobraźnia ludzka nakreśliła. Tylko między zwrotnikami Raka i Koziorożca, gdzie palmy wachlarzowe rozwijają wspaniałe korony, gdzie niezliczona ilość rozmaitych roślin, zasiana ręką Stwórcy bez uprawy i trudu obfite i smaczne wydaje owoce mogło się znajdować miejsce, gdzie pierwsza, czyli pierwsze nasze rodziny szczęśliwe przepędzać mogły chwile. Miejsce to nazywano rajem. Ale i w naszych czasach mogą nietylko ludzie, ale i całe gminy zbierać żniwo, gdzie nie zasiały zrywać owoce z drzew, których nie sadziły. Tam, gdzie rośnie palma Sago Papuani i Malajowie znajdują bez pracy smaczne pożywienie, które jakby przybycia ich oczekuje. Na wielu wyspach Koralowych i morza Południowego obiady składają się o każdej porze dnia z orzechów kokosowych a rozmaitości nadaje im obfita zdobycz z połowu ryb. Najtroskliwszemi i najlepszemi żywicielkami rodzaju ludzkiego są w ogóle palmy. Do drzew, które dostarczają pożywienia dzikim mieszkańcom gorących krajów Ameryki należy Guillelma speciosa wydająca owoce podobne smakiem do naszych brzoskwiń. Odwieczne niezmierzone lasy nad rzeką Amazonas, gdzie dojrzewa brazylijski kasztan, kakao, ananas i wiele innych smacznych owoców dostarczają codziennego pożywienia i orzeźwiającego napoju, podobne do nakrytego stołu, które Stwórca zastawił dla dzikich mieszkańców, postarawszy się hojnie o zmianę

*

potraw. W Afryce środkowej rośnie palma (Chyphoena Tebaica) dostarczająca rocznie więcej niż 200 orzechów wielkości pomarańczy, a palma daktylowa w dzikiej pustyni Sahary, żywi nie tylko konia ale i jego jeźdźca. Jest to jednakże roślina, która wymaga wiele starania i uprawy. Drzewo chlebowe zmieniło swoją pierwotną ojczyznę i z wysp Moluckich i Filipińskich powędrowało wraz z Polinezyjczykami aż po za granicę morza Południowego. Przez 8 miesięcy co roku wydaje owoce wielkości melonów, które przez dalsze 4 miesiące można w lochach zachowywać, lecz szczęśliwi mieszkańcy owych krajów nawet i tyle trudu ponosić nie potrzebują. Właśnie w tym czasie, kiedy po 8 miesiącach drzewo chlebowe przestaje rodzić, dojrzewają bulwy Yam. Te jednak również wymagają uprawy. Według obliczenia Forstera potrzeba 27 drzew chlebowych, aby wyżywić 10 - 12 osób w ciągu 8 miesięcy. Pisang wydaje 3 razy do roku winogrona, ważące 70—80 ft., a z tej samej przestrzeni, którąby według obliczenia Aleksandra Humboldta zajęła nasza pszenica, dostarcza 50 razy więcej pożywienia. Wszystkie te rośliny żyją w krajach zwrotnikowych, nic więc dziwnego, że tak tradycja ludów jakoteż i dawniejsze badania w tych właśnie krainach umieszczały pierwotną siedzibę ludzkości.

Lecz i po za zwrotnikami znajduje się wiele towarzystwo rosnących drzew, dostarczających pożywienia dla ludzi leniących się pracy. Północnoamerykańskie lasy Meskito pokrywają ziemię na kilka cali szyszkami, któremi się żywią, nietylko muły i konie ale i ludzie przyrządzając sobie z nich napój i pożywienie. Meksykańczycy z ziarn tych szyszek wypiekają smaczny chléb. Podobnych szyszek dostarcza mieszkańcom stepów Pampas i nad rzeką La Plata Prosopis Chorrida. Owoc tej rośliny nazywa się u tuziemców chlebem świętojańskim, jednakże oprócz nazwiska rośliny te nie mają ze sobą nic wspólnego.

Wyliczone poprzednio są to rośliny żyjące na równinach, lecz hojna w dary natura nie zapomniała także i o okolicach górskich. W Chileńskich Kordyljerach rosną drzewa szpilkowe Araukarje wydające szyszki wielkości głowy ludzkiej. Każda z nich zawiera 200—300 ziarn wielkości dwu migdałów a 200—300 ziarn mogą nasycić nawet najwięcej wymagającego żarłoka; smaczne są jak świeżo upieczone kasztany. I w naszych europejskich górach znajdują się żywicielki, z których korzystać mogą i korzystają ci, którym albo praca nieprzyjemna, albo którzy koniecznie korzystać z nich muszą. Nietylko pinie krajów południowych, i nasza limba, która niechętnie schodzi na miejsca niżej 4000' położone, jest drzewem owocowem dostarczającym pożywienia leniuchom. Na wyżynach Chileńskich w Peru na wysokości najwyższej europejskiej góry Mont Blanc, rośnie tatarka (chenopodium qui noa) a piękne świątynie, których ruiny z podziwieniem oko wędrowca spotyka, nie mogłyby powstać nad jeziorem Titikaka, gdyby ta roślina nie dostarczała pożywienia ludności, chcącej uczcić bożyszcze słońca i wybudować mu świątynię.

Napróżno uczeni całego świata poszukują ojczyzny roślin zbożowych. Dotąd tak w Azji jak w Ameryce rosną dziko zbożowe rośliny, usuwające się wszelkim usiłowaniom ludzi, ażeby je dla swoich egoistycznych przyswoić celów. Wpółnocnej Ameryce zbierają mieszkańcy pierwotni ziarna tatarki błotnistej a na ostrowach Garapesu pobocznej rzeki Rio Negro tuziemcy i osadnicy potrzebują tylko rękoma zesunąć ziarna dzikiego ryżu (Orisa subulata), aby zebrać pożywienie na kilka dni dla licznej osady. Nawet w posusznych równinach Kalacharji w Afryce południowej liczne rośliny strączkowe, psiankowe, ziarnowe wydają tyle owoców, że głód i pragnienie zaspokoić mogą.

Niezmierną ilość roślin pożywnych powiększają ustawicznie badania okolic mniej znanych naszej ziemi. Ludzie jednak żywili się pierwotnie nie tylko roślinami. Teorji tej sprzeciwiają się badania nowoczesne ludów i z wyjątkiem zwolenników Brahmy i Budy wegeterjanizm nigdzie nie znalazł i nie znajduje zastosowania. Wprawdzie człowiek co do uzębienia należy do roślinojadów, jednak na przekor owej teorji już w świecie zwierzęcym znajdujemy wiele takich, które nie zachowują wcale przepisów dyetetycznych. Odznacza się pod tym względem cała rodzina Katarinów nie różniąca się uzębieniem od ludzi. Pawiany np. wygrzebują ziemniaki i korzenie, obgryzają pączki, zjadają kwiaty i owoce, lecz z jednakową chciwością rzucają się i na inne zwierzęta, które mogą pokonać, odwracają kamienie, spodziewając się znaleść chrząszcze i poczwarki, mrówki, motyle, gąsienice i pająki. Jaja, młode ptaszęta i nietoperze zjadają z wielkiem upodobaniem, a nawet dorosłe ptaki, ryby, węże, żaby i jaszczurki. Szweinfurt, sławny podróżnik afrykański, wspomina o murzynach Bornó, że z wyjątkiem psów żadnem nie brzydzą się pożywieniem. Jeżeli jakiemukolwiek rodzajowi pożywienia przypatrzymy się ze stanowiska naukowego, przekonamy się wkrótce, że jego spożywanie polega jedynie na powszechnie przyjętym zwyczaju, a odraza, jaka się zwyczajnie u nas budzi, jest niczem innem, jak przestrachem przed rzeczą nieznaną. Nie powinni Europejczycy chełpić się wobec Chińczyków, że ci gniazda jaskółcze (Prepaug-Cholotorioe), między przysmaki liczą, jak również, że Arabowie chmary szarańczy jako błogosławieństwo boże uważają, gdyż i u nas spożywają smakosze wnętrzności słomki, żołądki kwiczołów i raki rzeczne, które przecież spełniają równocześnie podwójną służbę, to jest są grobem i grabarzami wszelkich nieczystości rzecznych. Jeślibyśmy zatem chcieli dochodzić, czem się żywili pierwotni mieszkańcy naszej ziemi nim się zaczęli trudnić łowiectwem i rolnictwem, musimy według wszelkich skazówek przyjść do przekonania, że bezbronny człowiek w pierwotnych czasach brał do ust to, czego mu sama natura dostarczała. Brodząc po kostki tylko w morzu łowił muszle, raki i ślimaki o każdej porze roku. Odpadki kuchenne na wybrzeżach duńskich, które tyle w swoim czasie między archeologami zjednały sobie rozgłosu, składają się z 4 rodzajów mięczaków. Temi żywili się pierwotnie mieszkańcy w okresie gładzonych i nieogładzonych narzędzi kamiennych nad morzem Bałtyckiem. Był to pierwszy krok do spostrzeżeń ściślejszych, podobne odpadki kuchenne z czasów przedhistorycznych znaleziono w Szkocji, w Stanach Zjednoczonych i w Brazylji. Jeszcze do dzisiejszego dnia należy w Kamczatce łowienie ryb bez wędki i bez żadnych przyrządów rybackich do codziennych zatrudnień. W rzekach tamtejszych łososie i pstrągi gnijąc częstokroć zatruwają powietrze. Mieszkańcy Kambodji spuściwszy wodę zapomocą sztucznych grobli, ryby łowią rękoma. Już więcej ćwiczenia i obserwowania przyrody wymaga łowienie ryb na trutkę. Tego sposobu używają jednak pierwotni tuziemscy Gujany. Przykłady, które dotąd przytaczaliśmy, można by o tysiące pomnożyć. Wszakże i z tej szczupłej liczby pokazuje się, że błędnem było i jest dotychczasowe marzenie o jakimś raju pierwotnym, o jakimś wieku złotym, gdzie ludzkość cała przez nielicznych reprezentowana przedstawicieli wesołe przepędzała chwile. Troska o codzienne pożywienie, walka o chléb powszedni jest tak dawną, tak starożytną, jak dawnym jest rodzaj ludzki, a przyrośnięcie do ziemi, przywiązanie do roli, zespolenie się niejako ze skibą należy do bardzo późnych historycznych czasów.

(dok. nast.)

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Powiada Pismo św. że Stwórca tworząc świat odrazu tak urządził, żeby tydzień miał tylko siedm dni. I od tego czasu tydzień ma dni siedm, a nic nie pomagają wszelkie modły i pobożne życzenia, ażeby mu przyszedł dzień ósmy, modły i życzenia, z któremi zapewne często nosić się muszą ludzie mający do wypłaty weksel, albo do spełnienia jakieś trudne zobowiązanie po upływie pewnej liczby tygodni.

Jeżeli jednak tydzień więcej niż siedm dni mieć nie może, gdyż sprzeciwiałoby się to najpierwotniejszej na tym świecie konstytucji, zdarzają się przecież wypadki, że bywa dla niektórych krótszym.

Tydzień naprzykład, który sobie zastrzegł hrabia Gustaw, nie składał się wcale z siedmiu, ale tylko z dwóch dni to znaczy, że było w nim tylko dwa dni takie, w których zamiar hrabiego Gustawa mógł się powieść.

Gdyby to było w Paryżu, byłoby zupełnie co innego, tam dla takich przedsięwzięć tydzień ma zawsze siedm dni, bo codzień znaleźć można okazję widzenia się, zbliżenia, ściśnięcia rączki, i okazanie światu że się widzi, że się zbliża i że się rączkę czule ściska!...

Ale w Warszawie i do tego w jesieni, w jesieni kiedy pogoda bywa już wyjątkową łaską nieba, rozumie się taka pogoda, podczas której piękne a eleganckie panie nie obawiają się ukazać światu swych tualet i narazić je na zniszczenie, w Warszawie to jeszcze szczęście i coś nadzwyczajnego, że tydzień, który sobie hrabia Gustaw zostawił, mógł mieć aż dwa dni! W Warszawie i w jesieni bywają całe tygodnie i miesiące, które dla tego rodzaju entrepryz nie mają ani jednego dnia.

Piękne a eleganckie panie siedzą jak zaklęte w domach, nie pokazując się żadnemu śmiertelnemu spojrzeniu, zamurowane, niewidzialne, jak święte w niebie albo sułtanki w haremie.

Dowodzi to, że Warszawa jest jeszcze bardzo malem miastem w stosunku do Paryża, a przynajmniej była bardzo małem w czasach które opisujemy, chociaż to czasy nie tak

dawne zresztą i wcale nie należą do przedhistorycznych.

Gwiazda jednak sprzyjała hrabiemu Gustawowi, tydzień dla niego miał dwa dni.

Jednym był dzień recepcji u państwa Rzewnickich, drugim koncert, połączony z zabawą na jakiś cel dobroczynny. W tych tylko dwóch dniach hrabia mógł się widzieć z Natalją wobec wielkiej liczby ludzi, w tych dwóch dniach tylko mógł dopełnić zamiaru, polegającego, jak wiemy, nie na odniesieniu rzeczywistego zwycięstwa, ale na daniu materjału do pogłosek, któreby doszły aż do ucha męża, i do Niny, jego samego, jako tylko pogłoski, nie narażając na żadne niebezpieczeństwo. W innych dniach tygodnia hrabia mógłby wprawdzie złożyć wizytę pani Rzewnickiej, i nad wykonaniem swego planu pracować, ale do czegożby go to doprowadziło? Wszakżeby nikt tego nie widział i niczyje usta do roztrąbienia, niczyja wyobraźnia do uzupełnienia dodatkami tego co zaszło nie miałaby sposobności.

Dzień recepcji przypadał wprzód od koncertu o dni parę. Na koncercie i połączonej z nim zabawie miała być, jak to mówią, cała Warszawa, nie było więc wątpliwości, że będzie na nim i pani Emilowa Rzewnicka, która we wszystkich uroczystościach brała udział bardzo skrupulatnie. Co do recepcji zdarzyło się tym razem, że Emil, który zazwyczaj urządzanie takich przyjęć zupełnie pozostawiał żonie, sam tego żądał i pracował nad tem, żeby przyjęcie było wyjątkowo świetne. Rocznica jego urodzin, zbiegająca się jakoś wypadkiem z rocznicą otwarcia domu bankowego i z rocznicą ślubu, posłużyła mu za pretekst, tak dobrze dla świata jak dla żony, istotnej bowiem przyczyny tego wyjątkowego zebrania nie wiedział nikt nie wiedziała nawet pani Natalja Dla niej wystarczało to zupełnie, że będzie miała sposobność przyjąć w swoich salonach jak najszersze koło znajomych. Życie towarzyskie na wyższą stopę podobało się jej bardzo i oddawała mu się rada, tak jak niegdyś tworzeniu poematów najrozmaitszej formy i rozmiaru. Jak większa część kobiet należała ona do tych istot, które potrzebują, żeby się niemi ciągle zajmowano, a gdy położenie, stanowisko i interesa jej męża nie pozwalały mu na to, ażeby z nią był nieodstępnie, szczęśliwą była, że mogła odbierać hołdy zgromadzającej się w jej salonie młodzieży i że następnie w godzinach wizytowych pokój jej bawialny nie stał pustkowiem. Było to zresztą dla niej życie nowe, od niezbyt dawna piła z czary zbytku, więc nie dziw że lubowała i rozkoszowała się jej nektarem.

Emil sam uzupełnił listę zaproszonych i podwoił ich liczbę, sam zamawiał cukry, ciasta, wieczerzę, sam się układał z tapicerem o gustowne przybranie salonów, i gdyby pani Rzewnicka rozumiała się choć trochę na interesach, byłaby z pewnością dostrzegła, że to bez celu być nie mogło.

I rzeczywiście miał Emil cel w urządzeniu tego przyjęcia, cel dla całej jego przyszłości bardzo ważny.

W kilka dni po tej recepcji przypadał termin wekslu na znaczną sumę, wystawionego przez niego jednemu z domów handlowych zagranicznych. Emil wiedział, że weksel ten cedowany został pewnemu warszawskiemu bankierowi, który zbyt wysokie zajmował stanowisko finansowe, ażeby już w tak krótkim czasie mógł wejść z Emilem w bliższe i stalsze stosunki. Sumy potrzebnej na zapłacenie tego wekslu Emil nie miał w ręku i mieć na czas nie miał nadziei. Udawał się do barona z prośbą o zasiłek, ale baron był z tych ludzi, którzy narzucają się z pieniędzmi kiedy ich kto nie prosi, lecz których prośba o najmniejszą pożyczkę odstrasza i przeraża. Krokiem tym zatem Emil tylko sobie zaszkodził. Kuzyn jego i dobroczyńca nietylko mu nie pomógł, ale nadto przeląkł się, a w przelęknięciu rozmawiał ze znajomymi o jego położeniu w taki niedyplomatyczny sposób, że chociaż niby wyraźnie nikomu tego nie powiedział, iż Emil stoi nad przepaścią, przecież pomiędzy tymi z którymi rozmawiał zaczęły się objawiać wątpliwości, czy efemeryczna świetność domu bankowego Emil Rzewnicki et comp. nie przeszła już swojej kulminacyjnej fazy i ku zachodowi się nie kłoni.

Nie znalazłszy pomocy u barona, Emil usiłował ściągnąć na czas jakiś rozmaite należności, jakie miał u ludzi. Powiodło się to tylko w części, w części zaś przyczyniło się jedynie do pomnożenia osłabiających jego kredyt pogłosek i półsłówek.

— Wiesz — mówił jeden z interesowanych — Rzewnicki kręci się za pieniędzmi... upomina się wszędzie gdzie mu się należy bodaj sto złotych...

— Słyszałem coś o tem — odpowiedział zagadnięty.

— Czyżby z nim już miało być ten tego?...

— Bah! któż wie?... może!...

— Mój Boże! a tak szybko wystrzelił w górę...

— Jak grzyb po deszczu...

— I miałby już... tego ten...

— Któż wie!... może się jeszcze „wykaraska", a jeżeli nie, to będziemy musieli powtórzyć...

— Co naprzykład?...

— Starą maksymę... *sic „clapsit" gloria mundi!*

—W każdym razie szkoda by go było... dobry człowiek!

—No, naturalnie szkoda byłoby... dobry człowiek!

I obaj rozmawiający wzruszali ramionami z politowaniem.

Mówiło przez ich usta uczucie, na którego nazwanie nie mamy w mowie naszej nazwiska. Świat handlowy importował je do nas razem z innemi zagranicznemi towarami. W ojczyźnie swojej uczucie to nosi nazwisko „Schadenfreude", cieszenie się ze szkody lub z kłopotu współzawodnika.

Zbytecznem byłoby mówić, że szybkie wybicie się na wierzch Emila było solą w oku dla ludzi jednego z nim zawodu. Próbka rozmowy, którąśmy przytoczyli dostatecznie o tem przekonywa.

Rozmowy takie słyszeć można czasami nawet o kupcach i bankierach, których interesa stoją najświetniej. Takim jednak one nie szkodzą nic, ale że domowi, który jest w rzeczywistych kłopotach, pomódz nie mogą, to rzecz pewna.

Kłopot Emila przypadł nadto w epoce bardzo krytycznej. Świat handlowy przechodził właśnie jedną z tych chwilowych stagnacji, które są tak zgubnemi dla mniej ostrożnych i mniej silnie stojących finansistów. Pieniądze były drogie, mało ich było, każdy się kurczył.

Pozostawało Emilowi tylko uplacić część należności i prosić bankiera, któremu weksel był cedowany o prolongatę reszty, albo znaleźć kredyt na pokrycie całkowitej należności w sferach stojących po za obrębem świata handlowego.

Sytuacja taka to już chwianie się — dom bankowy Emila był więc zachwiany.

Świetna recepcja z okazji potrójnej rocznicy miała służyć z jednej strony do zamaskowania tego stanu interesów, do położenia tamy pogłoskom rozszerzanym złośliwie; z drugiej strony miała ona być okolicznością ułatwiającą znalezienie potrzebnego kapitału.

Na liście zaproszonych znajdował się naturalnie i ów bankier, który miał w rękach swoich a raczej w swojej kasie ogniotrwałej ów fatalny weksel. Zaproszenie zostało przez niego przyjęte, była więc sposobność zbliżenia się i nakierowania interesu w sposób dla Emila pożądany. Oprócz tego było na tej liście wielu ludzi pieniężnych. Któż wie!... rozmowa zręcznie nakierowana mogła nasunąć niejednemu albo chociaż jednemu z nich myśl ulokowania kapitału w banku Emila. Byłoby to dla niego ratunkiem stanowczym, ocaleniem, tryumfem.

Mając dwie szanse Emil liczył na to, że jedna z nich przynajmniej powieść się musi, i chociaż dość żywo zajmował się przygotowaniami do recepcji wieczornej, mającej prawie mieć charakter balu, położenia swego nie uważał wcale jeszcze za zrozpaczone, miał myśl pogodną, nie przypuszczał katastrofy, nie widział, że na pochyłości na którą dał się popchnąć, znajdował się już na samej krawędzi przepaści, że był zmuszony „polować na pieniądze".

Na liście zaproszonych znajdowali się także baronostwo Pogromscy, lubo tylko dla formy. Zaproszenie ich było niejako obowiązkiem, lecz bytność ich w całym rodzinnym komplecie byłaby przecież z ich strony zbyt wielkim dla niby-kuzyna faworem. Od czasu ożenienia się, stosunek Emila z domem baronostwa stał się niby stosunkiem. Był z żoną w pałacu Pogromskich, bo uważał to za obowiązek, ale nie zastał tam nikogo. W takiż sposób odebrał rewizytę. Na wieczorach u niego pokazywał się chwilowo baron, przeszedł przez pokoje, pogadał z tym i owym i wychodził, Narcyz przychodził także na godzinkę, a jeśli były tańce posuwał nawet względność, aż do wykręcenia się parę razy po salonie. Trafiało się to wówczas, gdy potrzebował na swój osobisty rachunek zaciągnąć od Emila małą kilkusetrublową, naturalnie bezprocentową i bezterminową pożyczkę. Panie nie zaszczyciły nigdy progów państwa Rzewnickich dotknięciem swoich arystokratycznych stópek, i pomimo wymiany biletów wizytowych, z panią Natalją nie znały się wcale.

W dniu solennej i tyle celów mającej recepcji oczekiwały jednak Emila zaszczyty, na które nie liczył zupełnie.

— *Savez vous, maman* — rzekła Nina do matki — *il m'est venu une drole idée...*

— *Par exemple?...*

— Pojedziemy na ten bal jutrzejszy...

— Na bal jutrzejszy? — zapytala ziewając baronowa — *il y a demain un bal?...* gdzież to?...

— U pani Emilowej Rzewnickiej...

— I chciałabyś tam być?...

— *Oui, maman.*

— *Mais tu es folle!* tegoby jeszcze brakowało! jużeśmy się i tak dosyć zaawanturowali *avec ce petit* Rzewnicki sama nie wiem do czego to doprowadzi.

— *Je sais bien que c'est une folie, mais je le veux.*

„Je le veux" nie przypuszczało opozycji. Matka jej nie próbowała, wzruszyła tylko ramionami, zadzwoniła na garderobiannę i kazała nazajutrz przygotować strój balowy.

Powodem postanowienia Niny było to, że gdy była z wizytą u hrabianki Niegolskiej, dowiedziała się przypadkowo iż lord Philibeg, gdy mu wspomniano o wieczorze u Rzewnickich, odpowiedział dwoma wyrazami.

— Wiem... będę!

Gdyby się o tych dwóch wyrazach był dowiedział Emil, zdumiałby się niezawodnie niezmiernie. Nie miał on przyjemności ani znać ani prosić lorda Philibega.

Wizyta dostojnego albjończyka miała być zatem drugim niespodziewanym zaszczytem, który w dniu uroczystej recepcji oczekiwał naszego ,,bankiera w kłopotach".

(C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XVI.

Tak postawiony pod szczególniejszą opiekę zewsząd swych nieprzyjaciół, komitet zamierzał skorzystać z czasowych wypadków i podjąć sprawę polską na innym gruncie.

Na pograniczu Prus i Kongresówki stało kilkanaście tysięcy żołnierza, co nie chciał iść w pęta Mikołaja mimo mordowania go przez prusaków. W Galicji był korpus *Romaryny* i Różyckiego Samuela. Mało kto z żołnierzy dostał się do Francji, większość przeważnie została w kraju w zaborze pruskim lub Galicji. Zebrać więc całe te 30.000 wiarusów nie wydawało się niepodobieństwem, a zebrawszy można by na nowo poprowadzić do walki z Moskalami. I jeżeli noc listopadowa mogła się rozpocząć z siłami o wiele słabszemi mając przeciwko sobie wszystkich, to jakże takiego spiskowca, jak Zaliwski, nie miała zwracać uwagi ta masa? Jak Lelewel, co wyrozumiewał kiedyś różnych sfer usposobienie dla ruchu, miał teraz zrzec się wszystkiego? Lub Chodźko pisujący do dzienników zagranicznych o niezwyciężonych siłach narodu mógł przestać nagle podawać o jego wierze w niepokonane jeszcze siły? Dla tego to znajdujemy ciągłe wzmianki we wszystkich odezwach o możliwości lub konieczności powstania, chociaż ludzie rozmyślni z kąd inąd odpowiadali nie czas. Trochę później swe usposobienie Lelewel tak określa w liście 7 lipca 1833. „Kiedy się wiązała konfederacja Tyszowiecka za Jana Kazimierza nie pytała czy *czas?* Pokonany Czarniecki, nie pytał czy *czas?* I ty jenerale (Dwernicki) nie pytałeś czy *czas?* w ataku na swoich wołając: idźcie, bijcie, bierzcie — i biłeś Moskali. Ale przed 29 listopada kiedy mi Wysocki i Zaliwski polecili wyrozumieć ludzi poważnych, ludzi w znaczeniu będących, każdy mi nieledwie powiedział: *nie czas.* Wszakże okazało się doświadczeniem, że był jakokolwiek *czas*, i *czas* ten minął, inny bieży! I dziś są co wołają *nie czas!* Bezwątpienia że wielkim i ponowionym krzykiem. zmniejszają *czas!*"

Komitet wysłał W. *Pietkiewicza* do kraju dla porozumienia się z osobami mogącemi wziąć czynny udział w partyzantce i często otrzymywał od niego sprawozdanie dowodzące, że czas jest rozpoczynać działanie. Miał jeszcze innych swoich wysłańców. Jednakże nie mógł dobrze oceniać rzeczywistego stanu rzeczy już choćby dla tego, że główni motorowie siedzieli na obczyźnie, ich zaś agenci jak Pietkiewicz, bardziej zajęci byli robotami kobiecemi, niż konspiracją na obszerniejsze rozmiary. Główne działanie miało się odbyć w Kongresówce i zabranych prowincjach, tymczasem ajenci, za obszar Galicji i Poznańskiego nie wyzierali nawet. Łatwo więc pojąć niedokładność wiadomości o rzeczywistym stanie rzeczy u kierowników przedsięwzięcia.

Jednak sprawa podobna wymagała koniecznie, by nie kompromitowano głównych naczelników i kierowników ruchu. To też zaledwie podpisany został manifest do Moskali, na drugi dzień Zaliwski podaje swą dymisję i jakby usuwa się 13 sierpnia 1832 z komitetu nar.*) Bawił on jednak w Paryżu do końca roku, wszelako przy rozpędzeniu kolegów, jako niby nie biorący udziału w czynnościach nie był wywieziony z Paryża i mógł śmiało przybyć na odpowiednie stanowisko. Nie tu miejsce opisywać wszystkie przejścia i wypadki owej sławnej wyprawy *Zaliwskiego* i mającej z nią najbliższą styczność partyzantki *Wołłowicza*, Artura *Zawiszy, Kurzyjamskiego, Dziewickiego, Olkowskiego* i innych.**)

Sąd o niej da się najlepiej określić słowami Lelewela: Jest to dawno powiedziano, że naród nie godzien egzystować, jeżeli się własnemi nie może utrzymać siłami. *A ta siła narodowa powinna być tak silna, aby nie tylko zewnętrznym, ale równie wewnętrznym oparła się nieprzyjaciołom;* aby w każdym razie zdołała pognębić egoizm, fakcję, arystokrację — paraliżujących. Ci co się szczerze poświęcają, sądzą że taka siła w narodzie egzystuje. Do objaśnienia tej siły naród powołując, a padając ofiarą poświęcenia się swego, jako wykonawcy prawdy, męczennicy prawdy, wmawiają w swój naród, że tę siłę posiada; tylko że jest sparaliżowany, skrępowany, uśpiony. Za te bohaterskie ofiary prawdy, odpowiedzą potomności fakcjoniści, odrętwiający, arystokraci. Wołają oni zawsze *nie czas!*"***) A inny zaś mąż stanu pamiętny ze swych pism radykalnych i najgłębszy wyznawca zasad ludowych, wówczas członek zgromadzenia polskiego, *Worcell* Stanisław, protestując potępianiom tego czynu bohaterskiego pisał: „Wypadkiem będąc wieku i ducha narodowego, rozruchy polskie zarazem są skutkiem i będą przyczyną ich postępu; i w tym to znaczeniu niegdyś mówiono: że ze krwi pojedyńczych męczenników kościoła roje wylęgają się chrześcjan. Nie męczeństwem i gwałtownie, lecz zwolna i zgrzybiałością zmierają narody. Kiedy żniwo dojrzeje, a my żniwiarze z sierpami w ręku, z Zachodu nadciągniem, zbierzemy na ówczas owoc przez *Kurcjuszów naszych zasiany* i raz jeszcze zawołamy, lecz już na ziemi ojczystej i wśród zwycięskiej wrzawy: cześć męczennikom! cześć za nas, lubo bez nas, poległym braciom naszym."*)

Nawet w rozpędzeniu swem członkowie komitetu narodowego bronili najusilniej całej wyprawy, przeciwko której wystąpił komitet Dwernickiego. O nim słów parę należy dla zrozumienia walki.

Widzieliśmy chwilę, w której zakłady zrażone stanowczym występowaniem w barwach republikańskich komitetu narodowego zapragnęli jego zmiany i Awinion zachwiał go, stawiąc inny na jego miejsce. Lelewel, Chodźko, Zwierkowski wymówili się od nowej kombinacji. A wiele głosów po zakładach popierało ich. Komitet nar. więc pomimo zredukowania swego do 5 członków (po wystąpieniu *Hubego* 30 września i Zaliwskiego 13 Października 1832) nie myślał się rozwiązywać, a pełnił nadal swój obowiązek.

Tymczasem po eksperymentach marcowych niedoszłych do skutku, w walce nad utworzeniem komitetu, to 15, to jedynastu, przy usilnej pracy Mochnackich, którzy uważali, że emigracji przewodniczyć nie powinien ani Czartoryski, ani Lelewel, jako bardzo wybitni; po długich porozumiewaniach się i naradach, stanął 22 października 1832 komitet nowy i jego prezesem ogłoszony Dwernicki jł. Do niechęci wojskowych jakich spotęgowanie przedstawiał *Bem;* do uprzedzeń dyplomatycznych jakie streszczają w sobie *Morawski* i *Czartoryski* i. t. d., *Platera* i *Kniaziewicza*, o których z powodu uchwały o wygnańcach, Maurycy Mochnacki pisał: *) *Pozzo di Borgo* wygrał więc sprawę z emigracją polską, nie bez porozumienia się z takimi ludźmi jak *Plater, Jelski, Lubieński*. Ci prawdziwi agenci cara w Paryżu, zostają w ścisłem porozumieniu z Kniaziewiczem starym, który ich słucha i popularność swego imienia na złe dla emigracji naszej używa." Dołączyli się jeszcze i inni, których nieczyste pobudki opisywał wówczas Leonard *Chodźko* tak: **) „Ci co na naczelników się narzucali, co przez swych sekretnych ajentów otrzymywali adresa szumne od rad zakładowych, dążyli do tego, aby koniecznie panować, a szczególniej, aby rozrządzać kasami tułaczów, ich składkami i funduszami komitetów francusko-polskich i amerykańsko-polskiego..."

Komitet październikowy nigdy nie doszedł swej liczby. Składał się on z *Dwernickiego, Morawskiego, Worcella, Sierawskiego, Umińskiego, Ledochowskiego J., Plichty* i *Słowaczyńskiego* (pisarza). Od razu musiał więc podkopywać do spółki z innymi odłamami emigracji znaczenie komitetu narodowego, który nie chciał wyrzekać się swego wpływu, czyli mówiąc słowami L. Chodźki: „imię Lelewela i moje snuło się na listach członków delegacji i nowego komitetu, aleśmy się mieli na ostrożności i wymawialiśmy się od tych kombinacji, gdyż mieliśmy stanowisko, w którem honor,

*) Dymisja pułk. Zaliw... do komitetu.

**) Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiej do Polski z roku 1833 przez Karola Borkowskiego. Lipsk 1862.

***) List Lelewela do Dwernickiego. Tours 7 lipca 1833.

*) Protestacja z 23 maja 1833 z powodu nadrukowania okólnika komitetu. (Dwernickiego) 17 maja 1833.

*) 18 kwietnia 1832 list do Matki w zbiorze pism wyd. Poznańskie str 109.

**) List do Rahozy 15 grudnia 1832.

prawda, szczera miłość ojczyzny i pewność cierpienia za świętą sprawę, nakazywały nam dotrwać aż do końca w naszym grudniowym komitecie, a którego nikt nie miał prawa wywracać, bo pochodził z wotów lub przystępstw legalnych.“

Lelewel i Chodźko jako więcej znani, jako głównie zajmujący się redagowaniem i ogłaszaniem po francusku różnych odezw, stali się głównym celem nienawiści ogółowców komitetu październikowego, który jakby nie darowywał jego nieuznanie i lekceważenie. Walka obydwóch komitetów, liczne z zakładów nadsyłane komunikacje obydwom, naprowadzały policję francuską na niechęć, której i bez tego w urzędowych sferach ku nam nie brakło.

Wypadek zdarzył, że jeszcze w czasie pogrzebu j-ła *Lamorque'a* zaczęły się ruchy w Paryżu na korzyść rzeczpospolitej. Polacy w nich udziału nie brali żadnego. Walka wojska i episjerów z republikanami wrzała na dobre przez 2 dni 4 i 5 czerwca. O ówczesnem współczuciu ludu ku Polsce może zaświadczyć i następny wypadek. Lafayetta okrążali przedstawiciele z różnych narodów z chorągwiami barwy narodowej. Chodźko niósł chorągiew polską, a był w mundurze gwardji narodowej Warszawskiej, jako oficer zamianowany przez rząd narodowy i jako adjutant pierwszego grenadjera tej gwardji Lafayetta. Atakowany i strzelany lud się rozbiegał, przy Lafayecie pozostawało coraz mniej osób. Ostatecznie koło Tuillerijów szedł już sam Chodźko do domu. A na placu spotkał pułk 72 konnicy idącej do ataku. Dowódzca pułku widząc Polaka z polską chorągwią, salutował szablą równie też jak cały pułk; Chodźko podobnież salutował chorągwią i najswobodniej powrócił do domu, nie będąc zatrzymany przez żadne wojska, które jednak nie miały tyle względności dla swych współobywateli, mordując ich kilka tysięcy i pozostawiając na wybrzeżu Sekwany krewnym do rozpoznania.

Jednak między tysiąc kilkaset więźniami znalazło się dwóch Polaków: *Rykaczewski Makary* i *Szwajgiera*. Lud paryski w swym zapale ku Polsce gdy ich dostrzegł, dał im oręż, postawił na czele i kazał siebie prowadzić do walki. Chociaż ich i wypuszczono z więzienia po kilku dniach, lecz władza poglądała gorszem okiem na komitet narodowy i była to jedna z przyczyn ku wydaleniu członków jego z Paryża.

Obydwa więc komitety stanęły względem siebie nie najlepiej i to tem bardziej im komitet narodowy widział bliższą chwilę uwieńczenia swych prac nowem powstaniem. Jednakże pomimo tajemnego narzekania, stosunki w sprawie narodowej były dobre. W Paryżu w domie Opactwa St. *Germain de Prè* przy ulicy de l'Abbaye na obchodzie rocznicy listopadowej wszystkie odcienia nasze demokratyczne były wspólnie. Zaliwski miał pełną wiary przemowę, a Krępowiecki mowę sławną co wznieciła tyle przestrachu śród naszej arystokracji i rozniosła pogłoskę, że już są u nas demokraci, co chcą rzezi; nie zważając na to, że ani jednego słowa podobnego nie wypowiedziano.

Przed wyjazdem Zaliwski był nawet u Dwernickiego, szczerze mu przedstawiając cały bieg sprawy podejmowanej. Dwernicki obiecał uroczyście, „iż jeżeli nie będzie mógł dopomagać swą osobą, to podziela zamiar, błogosławi przedsięwzięciu i w żadnym razie nie przyłączy się do przeciwników tej wyprawy ani słowem, ani piórem, ani drukiem.“

Lecz dość było przegranej i nieudania się sprawy, by wyszedł od komitetu okólnik przypominający *„biada zwyciężonym!“*

Chodźce należy ta zasługa, że po wygnaniu z Paryża, po rozpędzeniu komitetu, w listach prywatnych walczył przeciwko potępianiu wyprawy, i listem do *la tribune* skarcił nieprzyzwoite naigrawania. Niebył on sam. Popierali go w tym kierunku występując, Lelewel i Mickiewicz. A gdy *Kronika Emigracji Polskiej* powstała na Zaliwskiego, nazywając krzykaczami, szaleńcami i robiąc prawie szpiegami sprawców najszczytniejszego poświęcenia, wtedy Mickiewicz Adam w *Pielgrzymie Polskim* podjął ten piękny głos: „Chwila jeszcze cierpliwości bracia! Już Mikołaj żelazną ręką sięga do francuskich więzień i francuskich żandarmów ma na swojej służbie. Sprawa nasza coraz ściślej, coraz wydatniej wiąże się ze sprawą wolności świata.“ Napisał wtedy: O bezpolitykowcach i polityce pielgrzyma; o ludziach szalonych i ludziach rozsądnych; niezgody emigracji naszej; i list do Bohdana Zaleskiego. A są to może najlepsze rzeczy polityczne wyszłe z pod jego pióra. „W czasach kiedy umysły skore na sofisterją, pozwalają sobie o wszystkiem rozprawiać na prawo i na lewo, rozum rodu ludzkiego wygnany z książek i z rozmów, chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi czujących. Skazówką tych ludzi jest uczucie powinności. Godna uwagi, że jeden z naszych jenerałów zasłużonych, pierwszy, ile mi wiadomo, śmiał na czele pamiętników swoich militarnych napisać słowa: *Czułem że o powinności nie wolno rozumować.*“

Słowem, że spór ten rozpoczęty komitetem w 1832, a który miał za następstwo publiczne spalenie przez Eust. Januszkiewicza na ulicy Taranne 7. lipca 1833. odezw Czartoryskiego i Bema zachęcających wychodźtwo do brania udziału w legjonach egipskich, algierskich, Don Pedra czy Donna Marji, — był ostatnim czynem wielkiej doniosłości komitetu narodowego. Jest on jakby tą jutrzenką promienną co oświeciła jego konające istnienie. To szczere oddanie się i popieranie wyprawy, ta tama jaką komitet stawił podleniu się służalczemu chcących kierować niedobitki powstania na płatnych żołdowników pierwszego lepszego opryszka i nareszcie to przebudzenie się sumienia narodowego, które wymagało zużytkowania krwi poświęconej sprawie wolności, na jej zdobycie, a nie na tyranie na żołdach cudzoziemskich i zupełnej bezczynności po zakładach lub w więzieniach pruskich. A zasługi z obrony tego czynu w obec napadów gawiedzi, część musi spaść na L. Chodźkę. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Dzieje Polski w zarysie. Do użytku klas wyższych szkół średnich, seminarjów nauczycielskich i prywatnych zakładów naukowych ułożył L. Tatomir. Lwów. Nakładem auto a 1879 8ka moj. str. 330).

(Dokończenie).

Potwierdzeniem tego co autor powiada w tym ustępie są wypadki, które przedstawia w trzeciej epoce. Już tytuł tej epoki wskazuje, że jest ona początkiem nowej fazy w dziejowym rozwoju narodu, której nie dozwolono mu doprowadzić do końca. Autor podnosi to z słusznym naciskiem, że rozbioru Polski dokonano właśnie w chwili, gdy ona na nową wstępowała drogę i poczęła się podźwigać z bezrządu i upadku. Nie wdając się w deklamatorskie oburzenia na wyrządzoną nam srogą krzywdę, wykazuje przytaczaniem i stosownem zestawianiem faktów, że naród chciał i mógł stanąć pod każdym względem na równi z najlepiej urządzonemi państwami europejskiemi, a tem samem udowadnia wymowniej, niż najpatryotyczniejszą deklamacją, niesprawiedliwość dokonanego na nim gwałtu.

Takim dowodem są §. §. 160 i 166 — „Zwrot ku lepszemu i jego przedstawiciele“ i „Rzeczpospolita podnosi się na nowo z upadku“ — w których Tatomir przedstawia stan Polski po pierwszym rozbiorze do r. 1788. Opisawszy czynności sejmu z r. 1776, nową organizację komisji edukacyjnej i jej zbawienne działanie, rozwija autor żywo obraz wszechstronnego ruchu przemysłowego, politycznego i umysłowego, który ogarniał cały naród.

Pozwalamy sobie przytoczyć tutaj §. 166 w wyjątkach:

„Równocześnie z tą pracą na polu oświaty rozwijano zbawienną czynność i na wszystkich innych polach. Ponieważ handel zbożowy Wisłą przez utratę Prus królewskich został utrudniony, starano się o otworzenie handlu czarnomorskiego. Dla ułatwienia komunikacji wodnej wewnątrz dokończono w r. 1784 kanału Ogińskiego, łączącego Prypeć (Dniepr) z Niemnem, i przekopano kanał Muchawiecki, łączący Prypeć z Bugiem (Wisłą). Aby ułatwić obrót kapitałów, zakładano liczne banki, jak n. p. Prota Potockiego i Teppera. Zwrócono też uwagę na polepszenie gospodarstwa rolnego i stanu włościan: Andrzej Zamojski, Stanisław Poniatowski, podskarbi w. lit., Joachim Chreptowicz, zmniejszali lub znosili w dobrach swoich pańszczyznę, zamieniając ją na czynsz, zakładali dla włościan szkoły, a Paweł Brzostowski, referendarz lit, urządził w Pawłowie nad Mereczanką, zupełną rzeczpospolitą włościańską. Król budował w Warszawie wiele wspaniałych gmachów. Założył sobie letnią rezydencję, Łazienki. Za jego przykładem powstawały piękne pałace i dwory w Słonimie w Sielcach, w Puławach, w Jabłonnie pod Warszawą i w Werkach pod Wilnem. Podnosiły się różne zakłady fabryczne i rękodzielnicze, podnosił przemysł krajowy. Największe na tem polu zasługi położył Tyzenhaus, podskarbi nadworny lit., który założył koło Grodna na przedmieściu Horodnicy i nad rzeczką Łososiną wiele takich zakładów wzorowych, do których rzemieślników z Holandji, Francji i z Niemiec sprowadzał. Za pomocą tych cudzoziemców usposabiał on krajowców do wyrobów lnianych, wełnianych, jedwabnych, żelaznych i innych. Bécu kierował rękodzielami, Francuz Gillibert, autor Flory litewskiej, zakładał ogród botaniczny, szkoły nauk przyrodniczych i weterynarji, z których w końcu powstała szkoła lekarska. Prócz tego urządził jeszcze Tyzenhaus szkoły budownictwa, miernictwa i ksiąg handlowych. Podniósł dochody z okolicznych starostw z 300.000 na półtora miliona. Urządził puszczę białowiejską i taki wpływ uzyskał między Litwinami, że wszyscy głosowali na sejmikach jak jeden. Sejm z r. 1778, doprowadzony szczęśliwie do końca bez pomocy konfederacji, zaprowadził niektóre poprawy w wojsku, zgadzając się na wniosek królewski, aby remanent z pomnożonych dochodów obracany był na powiększenie armji. Jednem słowem kraj uszczuplony zaborami, naród przygnieciony tylu nieszczęściami, organizował się, porządkował we wszystkich kierunkach, podnosił się i umacniał, dając dowody oczywiste, że pozostawiony sam

sobie, niekrępowany obcemi wpływami, był zdolny zrobić Polskę jednem z pierwszych państw europejskich.

Ale tego właśnie nie życzyła sobie „wspaniałomyślna opiekunka swobód polskich", Katarzyna, i patrząc z niechęcią na te wszystkie postępy i ulepszenia, obawiała się słusznie, że Rzeczpospolita, idąc dalej tą drogą, stanie się państwem rządnem i potężnem. Przychodzili carowej w pomoc odrodni własnej ojczyzny synowie, nikczemni przedajni ludzie, niweczące lub przynajmniej utrudniając zbawienne działanie prawych i światłych obywateli. Pierwszą ofiarą tej niechęci padł Tyzenhaus. Korzystając z tego, że żarliwy przedsiębiorca podejmował wydatki nad miarę i nie mógł w należytym czasie uiścić procentów od sum pożyczonych, wymogła Katarzyna II na królu oddalenie zasłużonego ministra i wydanie go na pastwę wierzycieli. Z kijem w ręku ustąpił Tyzenhaus z Horodnicy (1780) a jego zakłady poszły w ruinę. Na sejmie ordynaryjnym tegoż roku, w którym upadło przedsiębiorstwo Tyzenhauza, przedłożył Zamojski swój projekt księgi ustaw, ale ponieważ chciał usunąć zastarzałe przesądy i zbliżyć do siebie różne stany, ograniczając przywileje szlachty i prerogatywy duchowieństwa, więc za podnietą Rosji i Rzymu spotkał gwałtowną opozycją, i projekt jego bez obrad nad nim został odrzucony.

Ale tak upadek Tyzenhauza, jak odrzucenie księgi ustaw Zamojskiego nie odniosły pożądanego przez Katarzynę skutku i nie wstrzymały narodu na drodze postępu.

Zbiory naukowe, zgromadzone przez Tyzenhauza, wzbogaciły uniwersytet wileński; fabryczne zakłady jego upadły, ale przykład jego znalazł naśladowców. Powstały fabryki kobierców Ogińskiego, żelaza Małachowskich, stali Jezierskiego, porcelany Czartoryskich, szkieł Bielińskiego, zwierciadeł Radziwiłłów. Zniszczenie jednego przedsiębiorstwa nie podkopało więc przemysłu kraju, który rozwijał coraz większą, coraz powszechniejszą czynność na polu ekonomji. Kredyt wzrastał; oprócz wymienionych powyżej powstawały nowe banki. Za przykadem Brzostowskiego, Czartoryskiego, Chreptowicza i Poniatowskiego poszli Moniuszko, Grabowski, Chobrzyński, Szczęsny Potocki, Reptowski, Wielopolski, Kołłątaj, Radoszewski, Siarczyński i inni, już usamowolniając zupełnie włościan, już zmniejszając liczbę dni pańszczyzny, już nakoniec urządzając dla nich szkółki i zakłady dobroczynne. Podnosiło się rolnictwo, ożywiał się handel, miasta wracały do dawnej zamożności. Warszawa doszła znowu do 70.000 ludności, Wilno do 60.000. Powstawały kompanie handlowe do zakładania składów zbożowych nad Wisłą, do handlu na Czarnem morzu, do szukania soli, aby sobie nagrodzić utratę Wieliczki. Utworzona kosztem królewskim komisja kruszcowa podniosła górnictwo w przeciągu lat kilku do tego stopnia, że kraj, który do r. 1782 opatrywał się obcem żelazem, począł już takowe wywozić. Wysyłano uczniów na naukę do kopalń węgierskich, król kazał przygotować plany regulacji rzek i budowy nowych kanałów, osuszania bagien i zakładania dróg, i zamierzał odnowić port żmujdzki w Połądze, ale temu ostatniemu projektowi stanęła w drodze Katarzyna II, krzyżując równocześnie w Konstantynopolu starania królewskie o zawiązanie układów co do handlu czarnomorskiego.

Ale co najbardziej przestraszało i bolało opiekunkę wolności polskiej, to że najniezawodniejsze dotąd narzędzie do niszczenia wszelkiego porządku w Rzeczypospolitej stępiało zupełnie w jej rękach. *Liberum veto*, odkąd uświęciła je gwarancją swoją carowa, obrzydło do tego stopnia zmądrzałemu doświadczeniem narodowi, że pomimo zabezpieczonej mu sejmem delegacyjnym mocy, nikt go użyć nie śmiał. Od ostaniego sejmu konfederackiego odbyło się pięć sejmów, wolnych i żaden nie został zerwany! A każdy z tych sejmów, jakkolwiek ścierały się na nich stronnictwa, jakkolwiek na ostatnim wyrobił się zaród nowych frakcji, zajmował się szczerze sprawami kraju, uporządkowaniem finansów, które rozwijały się też coraz pomyślniej, zaprowadzeniem lepszej organizacji armji, która wprawdzie powoli, ale ciągle wzrastała, każdy pozostawił po sobie prawdziwie pożyteczne uchwały. Przygasały też dawne zawiści i niechęci, jednali się najzaciętsi przeciwnicy, i można się było spodziewać, że wkrótce cały naród, silny zgodą powszechną, jedną drogą do jednego zmierzać będzie celu. Podczas sejmu grodzieńskiego (1784) król, zwiedzając po raz pierwszy Litwę od wstąpienia na tron, przyjął gościnę u ks. Panie Kochanku, najzaciętszego niegdyś wroga swego, który podejmował go teraz z właściwą sobie szczeropolską, serdeczną hojnością.

Nawet odrzucenie projektu Zamojskiego, jakkolwiek bezwzględne, miało to dobre, że poruszyło umysły do głębszego zastanawiania się i rozbierania ze spokojniejszą rozwagą jego reform, przez co torowało drogę przyszłemu sejmowi czteroletniemu. Do tego pobudzania umysłów do spokojnego rozważania i rozstrząsania żywotnych kwestyj, dawał popęd tak żywy ruch literacki, jakiego od w. XVI nie pamiętała Polska.

Błogosławiony zasiew mądrego i zacnego króla wygnańca i jego szkoły lunewilskiej począł się wysypywać obfitym plonem. W stolicy mnożyły się czasopisma polityczne i literackie, a nawet specjalne, jak „Dziennik handlowy" Podleckiego. W Przemnogich ulotnych broszurach politycznych i w pracach tego rodzaju na szersze zakrojonych rozmiary, jak n. p. Staszica „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego", ścierały się zdania i przyczyniały do wyrabiania się pojęć jasnych, trzeźwych, przed których światłem ustępowały zabobony, przesądy, nałogi, uprzedzenia, bezprawia. W założonej przez króla szkole kadetów, która była przedewszystkiem szkołą obywatelską, zaprowadził ks. Adam Czartoryski, kierownik tej szkoły, „Katechizm rycerski", który sam napisał, a którym wpajał w młodzież dokładne wyobrażenie o powinnościach obywatela. Towarzystwo do ksiąg elementarnych, starając się zaopatrzyć szkoły w potrzebne książki, zaprosiło do napisania tychże za stosowną nagrodą cudzoziemskich uczonych. Wezwaniu temu odpowiedzieli Carozzi, Condillac, Lhuilier i Ferrault. Współzawodniczyli z tymi cudzoziemcami krajowcy: Pijar Kopczyński napisał gramatykę języka polskiego, Waga rys historji narodowej, Skrzetuski podobnyż zarys historji powszechnej, Przybylski początki języka greckiego, Strojnowski naukę ekonomji politycznej, Dziekoński rolnictwa, Czempiński zoologją, Hube fizykę. W krótkim przeciągu czasu opatrzone zostały szkoły nie tylko w najpotrzebniejsze książki, lecz i we wszelkie inne środki naukowe. Akademja krakowska otrzymała ogród botaniczny i klinikę; na zaopatrzenie obserwatorjum wileńskiego w potrzebne narzędzia astronomiczne ofiarowała Elżbieta z Ogińskich Puzynina, kasztel. mścisławska, 30.000 talarów, bibljoteka Załuskich, zapisana przez założycieli swoich na własność narodu, wzrastała szybko, mając przeszło 19 tysięcy złp. rocznej dotacji ze skarbu państwa.

Przy takich staraniach i takich środkach krzewiła się oświata, rozwijały nauki, wzrastała liczba pracowników na rozmaitych polach piśmiennictwa, kształcił się język i otrząsając się z makaronizmów, wracał do Zygmuntowskiej czystości i siły. Exjezuici Wyrwicz i Poczobutt, Pijarzy Zaborowski i Ładnowski, uczeni Bem, Klug, Łęski, ks. Osiński upowszechniali nauki ścisłe; Skrzetuski, Ostrowski i Trębicki znajomość praw narodowych. Feliks Łojko, szambelan król., zbijał dowodami naukowymi, wywody historyczne praw rozbiorowych mocarstw do zabranych przez nie prowincji; szukając wzoru cnót obywatelskich pisano żywoty wielkich mężów polskich; tłómaczono klasyków starożytnych i dzieła najznakomitszych współczesnych filozofów i publicystów; w literaturze zajaśniały takie imiona jak: Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, Węgierski, Kniaźnin, Karpiński, Niemcewicz i inni.

Król sam uczony kochał nauki i sztuki, zachęcał do ich uprawy, był prawdziwym mecenasem. Pierwszym przykładem w Polsce bił on medale na cześć uczonych, wieszał ich portrety w pokojach zamkowych, zgromadzał ich co czwartek u siebie na obiady. Na jego wezwanie Naruszewicz, wykształcony kosztem Czartoryskich, począł pisać historją Polski krytycznie opracowaną. Ułatwiając mu pracę, założył mu król bióro w zamku, płacił 50 czerw. zł. na kopistów miesięcznie, wyprawił własnym kosztem Albertrandego do Włoch i Szwecji, aby w archiwach tamtejszych zbierał materjały do dziejów Polski, polecił wszystkim posłom swoim przy dworach europejskich, aby otwierali sobie wstęp do bibljotek i archiwów i wypisywali z nich czego zbiorom krajowym brakowało. Jak uczonych i literatów, tak również protegował król i artystów, dając im u siebie zajęcie, strojąc ich dziełami zamek i ulubione Łazienki, na których przyozdobienie parę miljonów wyłożył; wspierał scenę polską, którą wzniósł Bogusławski. Z królem współzawodniczyli Czartoryscy, gromadząc w Puławach zbiory naukowe, dając schronienie i hojną pomoc uczonym.

Na każdym kroku widać było pracę i postęp, rozwój materjalny i moralny narodu, który ocknąwszy się z długiego letargu, podnosił się wszystkiemi siłami."

Dwa te wyjątki — zdaje nam się — dają dostatecznie poznać książkę Tatomira i jej tendencję. Zwracając uwagę na praktyczną stronę, nadmienimy jeszcze, że rozdzielenie przedmiotu na liczne paragrafy (169), z których każdy jest do pewnego stopnia zamkniętą całością, uważamy za bardzo stosowne w książce do nauki i wielce ułatwiające przegląd. Zachowana we wszystkiem właściwa miara dowodzi, że autor korzystał z doświadczeń, zebranych w praktyce, i z notatek, robionych do lekcji, jak się tego domyślać można i z tego, że dedykował pracę swoją słuchaczkom i uczennicom swoim w zakładzie wychowawczo-naukowym p. W. Niedziałkowskiej.

Podnosząc zalety książki, nie możemy przemilczeć i jej stron ujemnych. Do takich zaliczylibyśmy przedewszystkiem to, że ostatnie czasy są stosunkowo mniej troskliwie opracowane od

dawniejszych. Widać to nawet w o wiele mniej obfitem przytaczaniu materjałów, których brak tem dotkliwiej uczuwać się daje, ile że źródła do czasów Sasów i Stan. Augusta są i dostępniejsze i więcej zajmujące dla ogółu czytelników. Brak ten nie ujmuje jednak wartości książki w ogóle, którą też jako prawdziwie pożyteczną czytelnikom naszym jak najlepiej polecić możemy.

T. N.

Mała wieszczka

(z Béranger'a)

Pamiętam. ach! doskonale,
Wieszczkę — Urgandą ją zwano;
Wzrostu miała na trzy cale,
Ale dobroć niesłychaną.
Szczęśliwy komu oddała
Swą władzę choć na chwileczkę,
Ach! powiedz nam wieszczko mała,
Gdzie chowasz twoją pałeczkę!

W przecudnej konsze z szafiru,
W dwa zaprzężonej motyle,
Mknęła jak powiew zefiru,
I świat miewał błogie chwile.
Zbiór obfity wioska miała,
Wina jedną, drugą beczkę....
Ach! powiedz nam wieszczko mała,
Gdzie chowasz twoją pałeczkę!

Chrzestną matką była króla,
Ministrom dzieliła teki;
Każdy z nich skromny, nie hula,
Od zdzierstw i gwałtów daleki.
Z owczarni wilki wygnała,
Na fałsz włożyła uzdeczkę,...
Ach! powiedz nam wieszczko mała,
Gdzie chowasz twoją pałeczkę.

Za wieszczki — król był uczynny,
Sąd ślepo dla niej oddany;
I nigdy żaden niewinny
Nie był okuty w kajdany.
Łaską pod skrzydła swe brała
Skruszoną żalem owieczkę, . . .
Ach! powiedz nam wieszczko mała,
Gdzie chowasz twoją pałeczkę!

By chrzestniak jej był kochany,
Dotknęła jego korony;
I ojcem był obwołany
I przez lud błogosławiony.
Gdy burza mu zagrażała,
Pocięto wroga na sieczkę, . . .
Ach! powiedz nam wieszczko mała,
Gdzie chowasz twoją pałeczkę!

Lecz wieszczka w swéj kryształowy
Pałac frunęła — za morze . . .
Afryka dźwiga okowy
I Azja skuta w obroże.
U nas noc niby ustała,
Lecz choć mniej gnębią troszeczkę, . . .
Ach! powiedz nam wieszczko mała,
Gdzie chowasz twoją pałeczkę!

M. Rodoć.

KLUB NERWOWYCH

przez

Edwarda Dangin.

I.

Loża pani Chaufournier.

Uważałem zawsze stróżów domowych, a szczególniej stróżowe jako najosobliwsze typy kalectwa fizycznego i moralnego, a ich loże *) jako najśmieszniejsze z osobliwości Paryża; do tego stopnia, że chciałbym żeby ludzie doświadczeni i znający się na tem podjęli się oprowadzania cudzoziemców przyjeżdżających do naszego miasta i robienia z nimi przeglądu najciekawszych próbek tego rodzaju stworzeń zajmujących miejsce pomiędzy człowiekiem, a zwierzęciem, ale o wiele więcej zbliżających się do tego ostatniego.

Osobą niewątpliwie bardzo brzydką i odpowiadającą całkowicie temu, co powyżej powiedziałem, była niezaprzeczenie stróżowa domu znajdującego się przy ulicy Beaubourg nr... Dawna markietanka, wdowa po doboszu gwardji narodowej, stara, straszna, niedbała około siebie, z włosami zawsze rozczochranemi i powiewającemi w skręconych kosmykach wymykających się z pod zatłuszczonego czepka, obdarzona haczykowatym nosem, który łączył się z podbródkiem zakrzywionym, jak rączka od parasola, spoglądała ona na lokatorów małemi oczkami koloru szarozakurzonego, pełnemi złości jak u dzikiego kota.

To też wszyscy obawiali się jej bardzo w domu, a przestrach jaki wywierała był tak wielki, że każdy dla zapewnienia sobie spokoju pospieszał robić podarunki za podarunkami, zupełnie tak jak się rzuca psu kość, ażeby uwolnić swoje łytki od jego zębów.

Ale ta zapobiegliwość lokatorów zamiast korzyści, obracała się im na szkodę, gdyż ich tyran, czując, że się go obawiają stawał się coraz bardziej wymagającym, samowolnym i nieugłaskanym. Pani Chaufournier, takie bowiem było nazwisko tej godnej kobieciny, miała jednak przyjaciółkę, w pani Bousout węglarce mieszkającej obok. Ona jedna tylko umiała sobie zjednać łaski i zaufanie samodzierżcy z ulicy Beaubourg.

W chwili kiedy zaczyna się nasze opowiadanie, obydwie kumoszki paplały zamknięte w loży.

Loża ta nie zasługująca na bliższe opisywanie, miała około sześciu stóp kwadratowych i podobniejszą była do jaskini niż do mieszkania. Ukryta pod klatką wchodową, ciemna i wilgotna, światło i powietrze dochodziło do niej tylko przez wązkie drzwi i małe okienko, które pani Chaufournier otwierała jedynie dla listonosza. Podobnie do wszystkich osób nie mających wrodzonego zamiłowania do czystości, nienawidziła ona powietrza i jak najrzadziej drzwi otwierała. To też atmosfera loży przepełnioną była wyziewami kuchennemi i mdłą wonią zamknięcia.

Portierka więc ze swoją przyjaciółką siedziały razem w loży paplając z całych sił i robiąc plotki na rachunek lokatorów.

— I cóż! — mówiła pani Bousout węglarka... czy wiesz pani co nowego o tym starym, który zawsze rusza ramieniem.

— Ah! pan Mathias! — odpowiedziała wdowa. — Nic, zawsze jest jednakowo niemiłym i niegrzecznym... Już od trzech dni go nie widziałam... Zapewne musiał chodzić po sprawunki w czasie kiedy ja zajęta byłam króciutką drzemką po śniadaniu... a może też nie spał w domu! On tak późno wraca, co wieczór!

— Co za myśl przynosić sobie samemu pożywienie... jakby nie mógł komu innemu poruczyć tego, naprzykład pani...

— Ah! to złote słowa moja dobra pani Bousout, niezawodnie byłabym bardzo chętnie oddała taką usługę temu biedakowi... ale wie pani on się obawia może, żeby mu nie uskubnąć jakiego biednego susika na jego wydatkach... Nie słusznie tak myśli biedny człowiek, bo co do uczciwości, to cała dzielnica zna panią Chaufournier Bogu dzięki!

— Ah! tak wiadomo, że pani jesteś dobrą kobietą... zatem ten pan Mathias żyje tak sam jeden...

Nic nie mówiąc do nikogo, jak niedźwiedź moja godna pani Bousout... Nawet mnie nigdy nie powie ani dzieńdobry, ani dobranoc.

— To niepojęte... ośmiela się...

— O ośmiela się jak najzupełniej... nie kłania mi się nawet i nie odzywa się do mnie oprócz raz na miesiąc, kiedy przychodzi zapytać się czy list nadszedł, bo on otrzymuje list jakiś każdego miesiąca... Otóż bierze list nie mówiąc ani słowa i idzie sobie tak, jak przyszedł.

— Więc je u siebie i sam sobie gotuje i sprząta.

— Tak najzupełniej jak pani mówi...

— Ale jakże pani wie o tem, kiedy nikogo nie wpuszcza do siebie?

-- Przez panią Tomaszową, która mieszka obok niego... ona słyszy jak porusza naczynia dwa razy dziennie na śniadanie i na obiad... nawet bieliznę sobie pierze, gdyż słyszała kiedyś uderzenia kijanki...

— Niepodobna...

— Najświętsza prawda... a zresztą wyobraź sobie pani człowieka niegrzecznego do najwyższego stopnia. Ktoby to uwierzył, że w każdej chwili kiedy przechodzi koło mojej loży... czy uwierzy pani... otóż rusza ramionami... Oh! niech pani słucha, są dnie, że chętnie bym wzięła miotłę i przetrzepała mu nią plecy...

— Rozumiem to dobrze...

— Ale wstrzymuję się... jestem tak łagodną z natury... Wie pani, jestem przekonaną, że zobaczymy go za chwilę schodzącego ze wschodów, list jest tu od trzech dni... Dziwi mnie to bardzo, że nie przyszedł jeszcze po niego..

— Jego list... a gdzież on jest?

— Tam... w trzeciej przegródce z lewej strony.

— O patrzcie się ma na sobie niebieską pieczątkę.

— Tak wiem,..

— Ah! to bardzo śmieszne,.. napisane jest na tem: *Akademja medyczna.*

W tej chwili głośne stuknięcie przerwało obydwom plotkarkom... coś upadło na podwórze...

Wdowa Chaufournier i pani Bousout rzuciły się na dwór z równym zapałem i podniosły rzucony przedmiot...

Był to klucz, do którego przywiązany był papierek. Na papierku nabazgrano ołówkiem:

— *Niech pani przyjdzie na górę, jestem bardzo chory... Mathias.*

— Ah! mój Boże on cierpi biedny człowieczysko! wprawdzie bardzo źle względem mnie postąpił, ale nie jestem złą i kiedy jest chorym

*) Lożą nazywają we Francji pokoik stróża, z którego ma widok na wschody i dozoruje wszystkich mieszkańców. (Przyp. tłom.)

to będę się starała mu dopomódz... Uważaj przez chwilkę na moją lożę droga pani Bousout.

I pani Chaufournier zachwycona myślą, że będzie mogła nakoniec rzucić okiem na prywatne życie swego lokatora, wybiegła i zaczęła czemprędzej przeskakując po kilka wschodów drapać się na górę. Ale ta ucieczka nie zadowolniła wcale węglarki, która ciekawsza jeszcze niż jej godna przyjaciółka, zaczęła wołać:

— Pani Chaufournier! pani Chaufournier! poczekaj na mnie, nie pozwolę ci z pewnością iść samej do tego człowieka... trzeba się mieć na ostrożności, to może zasadzka...

— Masz słuszność moja godna przyjaciółko, chodź ze mną.

W jedną sekundę znalazły się na szóstem piętrze i z niesłychaną radością włożyły klucz do zamku... Nakoniec miały poznać wnętrze mieszkania ojca Mathiasa.

Mieszkanie ojca Mathiasa miało osobliwszy pozór. Składało się ono z jednej długiej izby o dwóch oknach wychodzących na poddasze, z których rozciągał się w nieskończoność nieznośny widok na dachy i kominy co pani Chaufournier nazywała „wspaniałym widokiem z mieszkania."

Pan Mathias nie miał widocznie wielkiego starania o swoją siedzibę. Mury były zupełnie nagie, ani jeden obraz nie zakrywał szkaradnego niebieskiego papieru. Fajczarnia pełna napchanych tytoniem fajek wisiała obok komina. Zwierciadło, małe źwierciadełko dwudziesto-pięcio frankowe, było rzecz dziwna! zakryte serwetą. Pan Mathias obawiał się swego widoku, a dalszy ciąg mego opowiadania, wyjaśni ten wstręt.

Przed jednem z okien stał mały stolik, który służył za biórko starcowi, na tym stole leżał list zapieczętowany z napisom:

— „To jest mój testament."

W chwili kiedy obiedwie kumoszki wpadły do pokoju, pan Mathias konał na małem żelaznem łóżeczku, które pomimo swego pozoru bardzo skromnego, stanowiło jednak najgłówniejszą część biednego umeblowania.

— No mój drogi panie Mathias jesteś więc chory — zawołała pani Chaufournier — nie trzeba się martwić mój dobry panie, nie umrze pan jeszcze tym razem... Co by tu zrobić, przyrządzę szklankę wody z cukrem chce pan?... tak nieprawdaż? tego pan sobie życzysz, odgadłam to natychmiast... no pani Bousout pomóż mi trochę... chcesz? szukaj pani trochę...

— Bardzo chętnie, poszukam w szafie...

— Zaczekaj no pani, pomogę ci — powiedziała stróżowa opanowana nagłą niewiarą — to cukru nam potrzeba.

— Hę! — mruknęła — ile to bielizny ma ten kochany człowiek... spojrzyj no pani. Sześć par prześcieradeł, trzy tuziny chustek... cztery...

Gwałtowna czkawka dająca się słyszeć od strony łóżka, zatrzymała panią Chaufournier wpośród wyliczania. Obiedwie kobiety obróciły się pośpiesznie...

Pan Mathias z ciałem wychylonem po za łóżko wpatrywał się w nie z miną szyderczą i gniewną...

Ruszył lewem ramieniem, czkawka porwała go na nowo i rzuciła napowrót na łóżko gdzie pozostał bez ruchu.

— Ach!—Mój Boże! pani Boussout! spojrzyj się na niego.

— Pani Chaufournier on mnie przestrasza.

— I mnie także.

— Ach! mój Boże, on może umarł!

— Tak mi się wydaje...

— Idź no zobaczyć pani Bousout.

— Bardzo chętnie dla zrobienia pani przysługi pani Chaufournier, ale nie znam się na tem, lepiej by było gdybyś pani poszła sama.

— No... więc chodźmy razem...

I obydwa tchórze przycisnięte silnie jedna do drugiej dla dodania sobie odwagi zaczęły postępować nieśmiało, ciągnąc się wspólnie za suknie...

Węglarka wynalazła taktykę, która miała za cel trzymanie się ciągle z tyłu, co w chwili stanowczej, byłoby jej pozwoliło ukryć się całkowicie po za stróżowę.

II.

Praczkarnia i stolarstwo.

Ponieważ zaś pani Chaufournier zupełnie taki sam powzięła zamiar, z tego więc wynikło, że usiłowania obydwóch kobiet niweczyły się wzajemnie i że potrzeba im było około trzech minut na przebycie króciutkiej przestrzeni oddzielającej łóżko od szafy.

Przybywszy nakoniec naprzeciw pana Mathias przekonały się iż umarł, zupełnie umarł.

Pani Chaufournier zawołała.

— Biedny człowiek! założyłabym się, że nie miał czasu zrobić testamentu.

— Myli się pani — odezwał się nagle głos jakiś po za nią z tyłu.

Obiedwie kobiety obejrzały się i osłupienie ich było niewysłowione, gdy spostrzegły w głębi pokoju kilku ludzi stojących.

Na rogu ulicy Jean-Jacques Rousseau i ulicy Pagevin znajdował się dawniej sklep zajmowany wspólnie przez stolarza i przez szwaczkę.

Mieli oni ślicznego maleńkiego chłopczyka, który z powodu swojej piękności stał się bożyszczem całej dzielnicy a osobliwie państwa Mathias, którzy o wiele dumniejsi byli z dziecka swojego, niż z arcydzieł jakie wykonywali codziennie jedno w zawodzie stolarstwa a drugie krawiectwa.

Dziecku temu było na imie *Jan Nepomucen.*

Wszystko więc szło jak najlepiej w tem najlepszem z małżeństw; małżonkowie byli pracowici, ich mały mająteczek powiększał się ale — Dlaczego trzeba żeby w każdej rzeczy na tym świecie było jakieś ale? Ojciec jak większa część tych, których położenie bardzo skromne początkowo nie jest wolne, jeśli nie od prawdziwej nędzy, to przynajmniej od ciężkich kłopotów, chodził czasami pocieszać się po tych kłopotach, słodkiem *tête-à-tête* z boską butelką.

Po powrocie z dobrze rozgrzaną głową, stawał się zwykle kłótliwym i nieporozumienie panowało w domu. Pani Mathias, kobieta bardzo dobra, ale niesłychanie żywa z niecierpliwością się patrzała na te zapomnienia i robiła mu za nie gorzkie wymówki, które on znowu przyjmował jak można najgorzej.

Mały Jaś miał już pięć lat. Jednego wieczora kiedy ojciec jego powrócił podchmielony wywiązała się gwałtowna sprzeczka, w następstwie której pani Mathias porwała za szczypce, a mąż jej nie bardzo pewny na nogach i nie myśląc wcale występować zaczepnie pochwycił szaflik żeby się nim zasłonić.

Mały chłopczyk którego ta gwałtowna scena obudziła ze snu, tak się nią przestraszył, iż dostał najstraszniejszych konwulsji.

Ojciec przerażony tym wypadkiem, w jednej chwili wytrzeźwił się i przysiągł poprawić się ze swego nałogu. Dotrzymał wprawdzie słowa, ale to o czem się przekonał później, zatruło mu życie i kazało jeszcze gwałtowniej żałować wieczorów przepędzanych w szynku.

Dziecko zostało ocalone niesłychanemi staraniami tylko, gdyż lekarz zwątpił o nim i opuścił go zupełnie. Ale Bóg trzyma stronę matek, a pani Mathias przysięgła że żyć będzie. Więc żył.

Po wyjściu zupełnem z choroby, rodzice postanowili posyłać go do szkoły. Oznajmiono mu to po objedzie. Jaś odpowiedział na to bardzo grzecznie, że chętnie pójdzie, lecz mówiąc to ruszył dwa czy trzy razy raz po raz prawem ramieniem.

Ojciec pociągnął go za ucho i kazał mu iść spać natychmiast. Biedny maleńki zdziwiony bardzo zaczął płakać.

W pierwsej chwili nie zwrócono na to bacznieszej uwagi lecz w ciągu kilku następnych dni zauważono że dziecko ruszało kilkakrotnie tem samem ramieniem bez żadnego powodu, to wydało się dziwnem. Po dłuższem śledzeniu przekonano się wreszcie, że Jan Nopomucen był ofiarą nerwowego drgania.

Wtedy dopiero ojciec prawdziwie gorzko zaczął żałować nałogu, jakiemu oddawał się przez pewien czas.

Otoczono dziecko staraniami, uprzedzeniami i tkliwością. Starano się osłodzić mu smutne położenie jakie mu stwarzało to przedwczesne kalectwo. Rodzice jednak nie łudzili się i nie ukrywali sobie, że biedny chłopiec nigdy nie będzie szczęśliwym. Wprawdzie to kalectwo, nie sprawiało mu żadnego cierpienia fizycznego, ale robiło go na zawsze śmiesznym, a społeczeństwo nigdy tego nie przebacza. Odsunięci od urzędów, miejsc, zaszczytów, ludzie dotknięci jakąś śmiesznością stają się pariasami, z któremi nikt żyć nie chce i odwraca się od nich ze wstrętem.

Pan Mathias, który nie miał żadnej nauki, a jakie takie położenie stworzył sobie w czoła pocie pracując po całych dniach heblem i piłką, nie chciał żeby syn cierpiał z powodu nieuctwa tyle wstydu i upokorzeń, ile on sam w życiu musiał ich znosić. Zamiast jednak dać mu ogólne wykształcenie i nauczyć go tylko tego co potrzebuje umieć robotnik, on go kazał kształcić całkowicie. W ten sposób wpadł on w błąd popełniany bardzo często przez rodziców. Wskutek tego dziecko po ukończeniu szkół zamiast zostać robotnikiem tak jak ojciec, wyszło na prawdziwego pana. Nauka rozwinęła w nim wyobrażenia, upodobania i pragnienia, które go robiły zupełnie niezdatnym do ręcznej pracy.

Ojciec nie obraził się za to na niego i choć ze smutkiem bo widział dobrze, że tam nie będzie mógł zrobić majątku, wyszukał mu jakieś miejsce w biurze.

Tu spotyka pierwszy zawód biednego Jana Nepomucena.

Naprzeciw okien rodziców znajdowała się praczkarnia. Jedna z praczek mająca na imie Róża śliczną swoją twarzyczką głęboko wzruszyła młode jego serce. Patrzał na nią ciągle i ona także spoglądała na niego.

Szalony! posiadał on jeszcze wszyskie złu-

dzenia młodości i wyobrażał sobie, że zwróciła na niego uwagę.

— Co by to za śliczniutka gospodyni była — myślał on sobie — i co to za szczęście mieć taką milutką kobietkę przy swojem ognisku domowem.

W biurze siadywał od dziesiątej rano do piątej po południu. Wstawał zaś przed świtem i oczekiwał z niecierpliwością jaką łatwo zrozumieć, chwili, w której młoda dziewczyna przybywała do swego warstatu.

Kochał ją, więc mu się wszystko w niej podobało. Najmniejszy ruch przejmował go uwielbieniem i godziny całe z przyjemnością przepędzał nn przypatrywaniu się jak poruszała żelazo, lub rurkowała falbany. Przybycia jej oczekiwał z największym niepokojem stojąc w oknie i nadsłuchując każdego szelestu. A uczucie tak mu słuch wyostrzyło, że umiał rozróżnić z gwałtowuem biciem serca, nie tylko odgłos kroków, lecz i szelest jej sukni na wschodach domu stojącego naprzeciwko.

Szczęście jego niemiało granic, gdy nadchodziła, ale niestety! po chwili nowy niepokój go opanowywał.

— Czy obróci dzisiaj oczy w moją stronę? — zapytywał siebie.

A wiecie co się działo, gdy to spojrzenie tak upragnione zwracało się na niego? Oto biedny chłopiec mięszał się, czuł jakby przebiegnięcie iskry elektrycznej po całem ciele i spuszczał oczy. Warto było tak pragnąć tego spojrzenia.

A gdy chwila wyjścia do biura zbliżała się, on starał się przeciągnąć ją jak można najdłużej, tak że wyszedłszy musiał biedz z całych sił, dla odzyskania straconego czasu. Ale cóż go to obchodziło, czyż te chwile źle były użyte na wpatrywanie się w swoje bóstwo.

Jakże długim cały dzień mu się wydawał. Jedyną pociechą stanowiło odświeżanie w pamięci ślicznej twarzyczki, każdego ruchu i spojrzenia uwielbianej Rózi. Z pierwszem uderzeniem piątej chwytał za kapelusz i biegł do domu. O przysięgam, że nie potrzebował tyle czasu do powrotu ile go używał na dojście do biura. Przez całą drogę biegł z całych sił poszturkując bez litości przechodzących, którzy mu zastępowali drogę, ażeby jak najprędzej zasiąść przy okienku, gdzie się rozpoczynało na nowo szczęście dla niego.

Jednego poranku idąc do biura usłyszał jak odźwierna gderała bardzo zgryźliwym głosem:

— Te nic dobrego nie znoszą mi z góry bielizny — mówiła stara — Ah! gdybym miała jsszcze piętnastoletnie nogi, to prędziutkobym wylazła na to ich czwarte piętro.

— Może bym cię mógł zastąpić moja dobra pani — zawołał nasz kochanek jakby nagłem oświecony natchnieniem.

— Ah! panie Janie byłbyś pan bardzo uprzejmym. Oto rejestr...

Jan jednym tchem wbiegł na górę nie czytając rejestru, którego ortografja w innej chwili byłaby go szczerze zabawiła. Na kartce można było przeczytać.

1 Husteg . . . 25
1 Kawtanig . . 15 itd.

Przybył na miejsce przeznaczenia zadyszany. Otworzył drzwi z największem wzruszeniem i z rejestrem w ręku zbliżył się nieśmiało do Róży.

Wszystkie robotnice szeptały.

— To kochanek! — i śmiały się widząc jego zakłopotanie, ale to zapłopotanie pochlebiało Rózi, która wewnętrznie była bardzo z tego zadowolnioną.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała głosem jak można najłagodniejszym spoglądając na niego z zajęciem.

Głos ten i te spojrzenia życzliwe, wreszcie i położenie samo tak poruszyło nerwy młodego Mathiasa, że nagle pochwyciło go drganie. Trzy czy cztery razy ruszył prawem ramieniem, a wysilenie to odbiło się na twarzy szkaradnem skrzywieniem.

Rózia myśląc, że soble żartuje z niej, dała mu w twarz, a wszystkie robotnice popychając go za ramiona wyrzuciły go za drzwi.

Powrócił do domu zrozpaczony. Musiał się położyć do łóżka i o mało, że życiem nie przypłacił gwałtownego tyfusu.

Rozczarowanie jego było wielkie, ale Rózia mała praczka pomimo tego pozostała na zawsze najmilszem, najpiękniejszem z jego wspomnień. Jej to zawdzięczał wszystkie obawy i marzenia pierwszej miłości, które tak chętnie, lecz napróżno, chciałoby się odczuć raz jeszcze.

Kilka lat upłynęło w pośród cierpień bez liku. Nerwowe jego drgania robiły mu nieprzyjaciół z tych, którzy nie znali powodu częstego ruszania ramieniem, budziły zaś śmiech i żarciki u tych, którzy wiedzieli o jego niedoli. Niektórzy nawet posuwali okrucieństwo do tego stopnia, że zapraszali go do siebie, aby jego kosztem bawić swoich gości.

Nie będę opisywać wszystkich przykrości tego biednego życia. Wydarzało mu się po kilka razy, że się zakochał i okazał tę miłość, ale zawsze w chwili kiedy nadzieja miała się zamienić w rzeczywistość, nieszczęsne to drganie nerwowe niweczyło długie starania i tkliwość prawdziwą.

Drgania te które na nieszczęście stawały się coraz silniejsze z wiekiem, stały się powodem utraty niejednego korzystnego położenia.

Wszedł raz jako rachmistrz do bardzo znacznego handlowego domu. Jednego dnia przełożony dla którego czuł wielką sympatję, odpłacaną wzajemnością, dowiedziawszy się o upadku jednego ze swoich korespondentów, zapytał go nagle o położenie człowieka, który go dosyć znaczną sumę kosztował.

Nepomucen nie umiejąc odpowiedzieć w tej chwili na to pytanie, pobiegł do książek. Przełożony zaczął mu robić wymówki za to, że nie umie na pamięć opisać położenia w jakiem się znajdują wszyscy klienci. Wzruszenie spowodowane tą wymówką pobudziło nieszczęśliwe drgania, a przełożony myśląc, że to jest brak uszanowania, oddalił go natychmiast.

Innym razem potrącił na ulicy przechodzącego oficera. Oficer gniewa się, a Nepomucen idzie go przepraszać, ale nagle porywa go nerwowe drganie, a oficer przekonany, że to jest nowa obelga, policzkuje go. Trzeba było się pojedynkować i biedny chłopiec otrzymał cięcie pałasza, które go na sześć tygodni przykuło do łóżka.

Tymczasem rodzice Jana, po usunięciu się od pracy i zgromadzeniu maleńkiego kapitaliku czując że się starzeją chcieli koniecznie syna ożenić. Pani Mathias niespokojna o jego przyszłość czuła, iż towarzyszka kochająca, poświęcona, umiejąca przebaczać błąd fizyczny, dla wysokich przymiotów serca i umysłu jedynie mogła zrobić znośnem życie biednemu Janowi.

Odnowiła więc stosunki z dalekimi krewnymi i wkrótce potem poprosiła o rękę ich córki dla swojego syna. Małżeństwo to było korzystne pod wszelkimi względami. Młoda dziewczyna była bogatszą od niego, ale to nie odstraszyło jej rodziców, którzy chcieli oddać dziecko swoje nie bogatemu lecz po prostu dobremu mężowi.

Małżeństwo zostało ułożone, ale pani Mathias nie ośmieliła się wspomnieć o kalectwie swego syna. Takie wyznanie bolesne jest dla serca matki, postanowiła więc ściągać je do ostatniej chwili.

Niestety! w chwili kiedy miano podpisywać intercyzę ślubną, której czytanie kończono, w chwili kiedy notarjusz czytał:

— „Narzeczony przyznaje, że żona przyniosła mu w posagu sumę... „drganie nerwowe pochwyciło Nepomucena silniej niż kiedykolwiek...

Notarjusz zatrzymał się myśląc, że to jest jakieś zaprzeczenie, rodzina panny młodej zgorszyła się, pani Mathias zemdlała, a przyszła rodzina Onesima oddaliła się mocno rozgniewana...

Pani Mathias starała się wprawdzie naprawić rzeczy, robiąc nakoniec smutne wyznanie. Wyznanie to jednak uważano za nieprawdziwe i nazwano je prostem kłamstwem. Tak dalece, że nie chciano nawet uwierzyć, żeby podobne drgania nerwowe były możliwe.

To dobiło biednego chłopca.

Matka jego umarła ze zmartwienia i boleści, a ojciec nie długo także za nią podążył.

I tak biedny Nepomocen pozostał zupełnie sam jeden na świecie. Uczucie samotności i myśl o opuszczeniu, w jakiem teraz żyć będzie musiał, napełniły go głębokim smutkiem, gdy tylko boleść cokolwiek uspokojona pozwoliła mu rzucić okiem na obecne swoje położenie. (Dok. n.)

KORESPONDENCJE.

Paryż d. 17 Sierpnia 1879.

Śmierć Kazimierza Władysława Wójcickiego zrobiła w Emigracji naszej boleśne wrażenie, strata to bowiem wielka, nie łatwa do zastąpienia. Wójcicki pierwszy przeczuł to co Emigracja tak gorąco umiłowała, co zamieniła w dogmat patrjotyczny, co położyła za warunek narodowego odrodzenia: Miłość ludu, poczucie potęgi w nim spoczywającej, wyrabianie go i podnoszenie nieustanne do godności obywatelskiej, tak ażeby nam tego niezmierzonego skarbu narodowego żadna obłuda wydrzeć nie potrafiła. Wójcicki pierwszy zrozumiał, że fundamentem do tak wzniosłego celu może być poznanie ludu w jego podaniach, powieściach i pieśniach, wprowadzenie go tą drogą do literatury narodowej a następnie oddanie jego duchowej strony pod sąd i opiekę klas wykształconych. Tej ważnej i mozolnej pracy poświęcił też główną część swojego literackiego a tak chlubnego zawodu, i na tem polu zdobył sobie w patrjotyzmie polskim kartę niezrównanej zasługi. Ś. p. Kaz. Władysław Wójcicki posiadał szczególne poważanie u starszej braci naszego wygnania, która go widziała w 1831. w szeregach narodowych, która nie zapomniała, że po wkroczeniu do Galicji z korpusem Romaryny nie stracił aui jednej chwili bez pożytku dla kraju i tam pierwszy wydał sławne pamiętniki Kilińskiego, co mu zapewne zjednało, po powrocie do Warszawy, cały rok ciężkiego więzienia w kazamatach Zamościa. Cześć zacnemu patrjocie! Cześć niezmordowanemu pracownikowi w piśmiennictwie narodowem!

*

A przedewszystkiem cześć serdecznemu przyjacielowi ludu polskiego!

Po oddaniu należnego hołdu narodowej zasłudze, przystępuję teraz do zdania sprawy z wrażeń jakie na nas sprawiły rozmaite uroczystości francuskie pierwszych dni tego miesiąca. Była to chwila powtarzająca się corocznie nie tylko w zakładach naukowych ale i w Akademji francuskiej gdzie są rozdawane nagrody za najlepsze produkcje umysłowe i za czyny nadzwyczajnego poświęcenia. Szczęśliwy naród, któremu nigdy nie brakuje i dobroczyńców zachęcających do pracy, i ludzi zasłużonych w rozmaitych gałęziach wiedzy lub na polu życia społecznego. Jakiż to piękny czyn naprzykład tego prostego kasjera bankowego, który testamentem zapisuje dwom ajentom finansowym długą a mozolną pracą uzbierany fundusz, a ci, ludzie zamożni, nie powiadają, że od przybytku głowa nie boli, ale używają zapisu na ufundowanie w Akademji nagrody 3000 rocznie, noszącej nazwisko zacnego urzędnika. Albo tej córki, która, widząc swoją matkę dotkniętą obłąkaniem, zamyka się z nią w szpitalu i przez 27 lat oddaje się jej niczem niezmordowanej usłudze. Akademja francuska ma ten zaszczytny przywilej, że może pokazywać corocznie narodowi jego najpiękniejszą stronę: dobroczynność, zdolność i poświęcenie, co przy wrodzonej oszczędności Francuzów, stanowi ich niezrównane bogactwo i potęgę.

Rozdawanie nagród w zakładach naukowych odznaczyło się mowami biskupów i ministra oświecenia, Pana Juljusza Ferry, który z rzadką energją i zdolnością broni wszędzie praw państwowych przeciwko natarczywości ultramontanizmu. Ciekawą i wielce pouczającą jest walka tocząca się w parlamencie, w dziennikarstwie, we wszystkich niemal wystąpieniach publicznych, jak i w prywatnych rozmowach, walka uporczywa namiętna, wprowadzająca pewne zamieszanie nawet w obozie republikańskim, której celem posiadanie świeckiej władzy a bronią wolność wychowania publicznego. Wolność najobszerniejsza, prawie nieograniczona we wszystkich objawach myśli i potrzeb ludzkich jest obecnie najważniejszem a zarazem i najtrudniejszem zadaniem republikańskiej Francji. Widzimy to w obojętności z jaką się patrzą wszystkie czynniki rządowe i sądowe na niesłychaną zuchwałość stronnictw monarchicznych w ich napaściach na republikę; polemika nie ma już granic nawet w światowej przyzwoitości; poważny organ hrabiego Chambord, posługuje się karczemnym językiem pana Pawła de Cassagnac. Otóż, ponieważ wolność nieograniczona jest jądrem zasad republikańskich, powiadają ultramontanie, dlaczegożby wolność nauczania i wychowania młodych pokoleń miała być ograniczoną? Czyż prawa rodzicielskie, czyż wolność sumienia mają być wyjęte z pod ogólnych praw republikańskich? Ale tu nie idzie ani o wolność nauczania ani o prawa rodziców i sumienia, powiadają republikanie, ale oto czy *Jezuici*, wszechwładni w Rzymie i w episkopacie francuskim, mają zatrzymać w rękach swoich najpotrzebniejszy środek działania na rodziców, wychowanie ich dzieci w zakładach, których kontrola jest niemożliwą i wyrabiać tym sposobem nieprzyjaciół republiki. Jak zaś szkodliwemi i niebezpiecznemi są doktryny Jezuitów to wiadomo światu, historja nas uczy, że tam gdzie oni panowali tam cywilizacja zaciemnioną została, tam straszny despotyzm ciężał na narodach, tam jak za Nerona ludzkiemi pochodniami chwalono Boga. Łatwo pojąć, że tak położona kwestja zmienia swoje pierwotne znaczenia, ze społecznej, czyli szkolnej staje się polityczno-religijną i dla tego wywołuje w narodzie pewne roznamiętnienie, niebezpieczne dla porządku publicznego. Zobaczymy jaki obrót weźmie ta kwestja w miesiącu listopadzie, kiedy się Izby francuskie na nowo zbiorą.

Tymczasem ludzie rozważni żałują, że pan Juljusz Ferry zanadto okazał niecierpliwości, że Francja ma wiele innych, pilniejszych spraw do załatwienia jak wywoływanie sporów polityczno-religijnych. Oportunizm nakazywał nie poruszać w dzisiejszych czasach kwestji z natury swojej tak drażliwych jak religijna.

Oportunizm popełnił jeszcze inny, mniejszej wagi, ale znaczący błąd, urządzając w Nancy uroczystość odkrycia pomnika Thiersowego. Pięciu ministrów, znaczna część senatorów i deputowanych i innych dygnitarzy państwa, nadawały uroczystości charakter prawie urzędowy, narodowy. A o cóż chodziło? O uczczenie pamięci Thiersa jako *oswobodziciela kraju*, liberateur du territoire — i to w stolicy Lotaryngji która na wpół rozdartą sostała. Gdyby postawiono pomnik Thiersowi w Wersalu, w Bordeaux lub w Nismes zkąd był rodem, nic naturalniejszego, Thiers ostatniemi latami swojego życia zasłużył niezawodnie na pomnik, tylko nie w Nancy i nie za oswobodzenie kraju — albowiem go nie oswobodził, a Nancy to ramię wyciągnięte do Metzu i do Strasburga.

Dziwna rzecz, że takie popełniają się błędy w chwili kiedy oportunizm zapuścił tak silne korzenie w narodzie, że zacząwszy od organów rządowych, aż do najdrobniejszych dzienników, prowincjonalnych, od ministra do stróża polowego, od miljonowego bankiera i fabrykanta do ostatniego kramarza lub rzemieślnika czytającego gazety, wszędzie znajdujesz dzisiaj oportunistów mianowicie w sprawach zewnętrznych, którzy zaprzeczają zasadom dawniej głoszonym milczą lub schlebiają wrodzonym nieprzyjaciołom republiki, stósownie jak interes chwilowy dyktuje lub jak rachuby polityczne nakazują. Oportunizm rozsiadł się nietylko po dziennikach politycznych, ale widać go w literaturze w sztukach pięknych i w handlu. Wielbić n. p. cara, oswobodziciela (?) chłopów i Bułgarów, zapominać i milczeć o ohydnych czynach prześladowania Polski, stało się modą. Dyrektorowie teatrów i wydawcy dzieł, starają się o prace literackie przychylne Moskwie, a unikają wszelkich oznak dowodzących przychylności dla Polski. Za Ludwika Filipa oportunizm nazywał się „każden u siebie, każden dla siebie" a celem jego było: „bogaćcie się", dziś mądrzejszy, nie przyznaje się do tak egoistycznych zasad, ale do jednego by doprowadził celu gdyby jego panowanie, z natury swojej, nie było przemijającem.

Powyższe uwagi nastręczyły mi się z powodu śmiesznego zdarzenia którego byłem sam świadkiem. Autor, a raczej autorka podpisująca swoje dzieła Etienne Marcel, poświęciła ostatnią swoją pracę, wydaną przed dwoma miesiącami pod tytułem: „L' Hetman Maxime"*) pani Sewerynie Duchińskiej, której talent i patrjotyzm tak jak cała Polska wysoko ceni. Oczywiście, że w liście z tego powodu do pani Duchińskiej pisanym, znajdowały się odpowiednie jej zasługom ustępy, tchnące gorącą miłością Polski. Ale wydawca drukując ten list na początku dzieła, wypuścił z niego co mu się zdawało nie na czasie *ażeby nie obrazić przychylnego Francji państwa*. Otóż do jakiej śmieszności dochodzi oportunizm.

Ale mniejsza o to. Pomówmy o samem dziele, bo doprawdy, zasługuje, ażeby nań zwrócić uwagę publiczności polskiej. A naprzód słowo o samej autorce, która posiada tę starą francuską zaletę, że wbrew polityce oportunizmu, obeznaje swój naród z tem co pięknego i dobrego znajduje w społeczeństwie naszem. Pani M. znana oddawna z licznych prac literackich we Francji i Belgji, jest nam pokrewną sercem, bo żyjąc przez kilka lat na ziemi polskiej, pokochała ją i jej mieszkańców i jest nam pokrewną duchem, bo znając naszą literaturę i nasz język, wie lepiej jak wielu z jej piszących rodaków, co warci jesteśmy, jakie są nasze przymioty i wady, jakie są pojęcia i cierpienia nasze. Wolność, ojczyzna, religia, te trzy najpotężniejsze podwaliny ludzkości, które w liberaliźmie niemieckim i moskiewskim walczą między sobą, wykluczają się wzajemnie albo służą za narzędzie panowania nad drugimi, u nas harmonjują i dopełniają się w jednym celu oswobodzenia. Pani M. to odgadła i pojęła i dlatego wszystkie jej powieści, osnute na naszych dziejach i zwyczajach, noszą na sobie cechę prawdy, rzekłbyś, że są natchnione duszą polską. Kto czytał naprzykład powieść: Wiara i Ojczyzna, Witołd Turno, Pani Barbara i im podobne, ten się przekona o trafności powyższego spostrzeżenia.

Najpiękniejszą, najlepiej opracowaną produkcją tego dzielnego pióra jest niezawodnie dzieło, które mam teraz przed sobą. Jest to wymowna odpowiedź na „Hetmana" pana Dezonlida, który francusko republikańskie myśli włożył w usta Kozaków, a Polakom dał rolę moskali i tym sposobem stworzył bardzo piękny tylko zupełnie nie prawdziwy dramat. Oto jest w krótkich wyrazach osnowa tego dzieła.

Maxym Nekrasa, ostatni potomek hetmanów Ukraińskich, rozpoczyna swoją karyerę w wojsku moskiewskim, na Kaukazie. Nienawidzi Moskali, zdradza ich potajemnie, ale się odznacza nadzwyczajną walecznością, ocala życie siostrzeńcowi gubernatora, używa też wielkiego poważania. podbija serce Praxedy, księżniczki Georgińskiej i byłby uległ pod czarem jej wdzięków, gdyby stary kozak, Semenko, czuwający nad jego bezpieczeństwem i nad jego obowiązkami względem ojczyzny, nie przyniósł mu listu z którego się dowiaduje o śmierci ostatniego wuja i o spadku na niego znacznego majątku na Ukrainie.

Opuszcza więc Praxedę i Kaukaz. W powrocie do ojczyzny doznaje rozmaitych przygód, wzbudza znowu miłość pięknej córy Lesghów i ta mu ucieczkę z niewoli ułatwia. Na Ukrainie staje na czele stronnictwa Bałagułów, którzy w rozpuście życie pędzą, ale inaczej zrobić nie może, bo w kraju demoralizacja okropna, *jedynie Bałaguły mają charakter i zdolni są coś zrobić*. Na przeciwko Bałagułów staje czysty i szlachetny patrjotyzm polski, uosobiony w Zofii, prawdziwej kochance Maxyma, z którą się wychował, w jej bracie i ojcu, panu Madejskim.

Lud ukraiński burzy się przeciwko Moskwie w czasie wojny krymskiej, Maxym, jako hetman kozaków, staje na czele powstania wraz z Ba-

*) L' Hetman Maxime par Etienne Marcel 1879 chez Plon-et, Cie. Imprimeur Editeur à Paris.

łagułami; nocną wycieczką napada na Moskali maszerujących do Krymu i do szczętu ich rozbija; ale następnie, powstańcy doznają stanowczej klęski, rozpierzchają się albo w ręce policji wpadają po to jedynie ażeby pod knutami umierać. Maxym, oswobodzony przez owego synowca gubernatora Kaukazu, któremu życie ocalił, ukrywa się długo, naraża z tego powodu swoich przyjaciół, a mianowicie Zofię i jej familię na wielkie niebezpieczeństwa, aż w końcu zgryzotą martwiony, oddaje się w ręce Moskali i ginie skazany na śmierć przez rozstrzelanie.

Taka jest treść dzieła. Pod względem historycznym ma ono tyle wartości ile jej mają romanse. Figura bohatera zupełnie fikcyjna jak i role bałagułom przypisywane. Takich bałagułów nie było na Ukrainie, ci których znamy, byli bałagułami nic więcej. Wypadki ludowe z 1854 zaledwie potrącone a stosunek Polski do Rusi wcale nie dotknięty. Ale dzieło to ma bardzo piękne strony, sytuacje są w niem nadzwyczaj zajmujące i po mistrzowsku skreślone, obrazy zachwycające, typy cudowne w osobach starego Kozaka Semenki, Oksany, dziewicy ukraińskiej heroicznego poświęcenia; i familii Madejskich, wyobrażających staropolskie cnoty i miłość ojczyzny pobożność i gościnność.

Ażeby dać pojęcie o duchu w jakim to piękne dzieło napisane zostało, przytoczę tu rozmowę starego Semenki z młodym Madejskim, który po śmierci ojca, matki, siostry i przyjaciela Maksyma, wstąpił do stanu duchownego.

Pociesz się, Semenko. Ci których opłakujemy patrzą na nas, słyszą nas i powołują do siebie. Podnieś oczy, starcze, i szukaj ich tam, wysoko.

— Niestety! Panie wikarjuszu — rzecze starzec wzdychając — na próżno modlę się i wierzę, nie mogę się pocieszyć, pod tą kamienną mogiłą zagrzebałem nie tylko mojego pana, moją nadzieję, chwałę, moje dziecko i zdaje mi się jakobym równocześnie pochował tam i Ojczyznę.

— Ojczyznę! — odparł młody kapłan potrząsając głową. Prawdziwa Ojczyzna jest tam, wysoko. Semenko, ta Ojczyzna jest nieśmiertelną!

— Tak jest, wiem, że Bóg daje nam ją w niebie, odrzecze stary Kozak zamyślony. Ale nasi ojcowie mieli ją także i na ziemi. Czyż ich synowie nie oglądają jej więcej?

— Oh! Zapewne, że ją odzyskają, ale pod warunkiem, że ją wywalczyć potrafią.

— Wywalczyć? Przecież on to usiłował a tymczasem zwyciężony, nie żyje.

— Nie tak to ja rozumiem — odpowiada młody wikary. Aby wywalczyć ojczyznę, trzeba najprzód ustalić w sobie sprawiedliwość. Jedyna walka jaką synowie nasi prowadzić mają, będzie długa, wytrwała, walka pokojowa, w której zwyciężyć muszą, bo ich bronią będzie poświęcenie, sprawiedliwość, cierpliwość i prawda. W naszych czasach można było już taką bronią walczyć, a wtenczas byłoby się zdobyło co więcej jak śmierć bezpłodną. Mówiono to naszemu biednemu Maksymowi i wielu innym jemu podobnym, ale śmieli się z tych rad i zapomnieli o nich. My, co kochamy Ojczyznę, módlmy się za nią, Semenko, ażeby ci co po nas nastąpią, nie pogardzali tą nauką, ale się nią przejęli i pamiętali o niej."

Kronika tygodniowa.

Jakoś żywiej i ruchliwiej zrobiło się we Lwowie; za kilka dni rozpoczną się wykłady w szkołach, więc opalona młodzież w towarzystwie również ogorzałych rodziców zjeżdża się powoli, aby synów i córki swoje znów do nauki zapędzić. Po księgarniach ruch się ożywia, gdzie spojrzeć patrzą na nas afisze „książki szkolne" nic tylko książki szkolne, gdy inseraty gazet miejscowych ogłaszają życzenia przyjmowania uczniów na stancję.

Jak któryś z anglików powiedział, że ilość spotrzebowanego mydła w kraju, świadczy o jego cywilizacji, tak znowu my odważymy się utrzymywać, że ilość i jakość inseratów dziennikarskich, daje najlepszy dowód rozwoju handlowych i przemysłowych stosunków danego miejsca. U nas, rzadko się zdarzy czytać inseraty miejscowego znaczenia, chyba jak teraz szukające uczniów na stancję, ale przeważnie reklamy różnych cechów zagranicznych, tandetnych handlarzy z Wiednia, lub bardzo podejrzanej uczciwości przedsiębiorców z całego świata, którzy pod różnemi omówieniami rekomendują bezecny towar obliczony na studencką ciekawość młodzików. Miejscowe potrzeby i miejscowy handel odbywa się bez tych wszystkich anonsowych ceregieli, to jest widocznie nie ma się z czem chwalić. Ani ogłoszeń o wynajęciu lokalów, ani o sprzedaży różnych przedmiotów, potrzeby sług i t. p. rzeczach codziennego użytku, które taki Kurjerek Warszawski całemi arkuszami podaje, u nas tu nie ma. Jeżeli co komu potrzeba, musi się udawać do żydków faktorów wygrzewających się na słońcu przed hotelami, którzy za najdrobniejszą usługę, sowicie każą sobie płacić nawet wtedy, kiedy nic nie zrobią. Ludzie we Lwowie tak samo potrzebują pożyczać pieniędzy jak i gdzieindziej, są i tacy co mają do wypożyczenia a jednak dawno już nie zdarzyło nam się czytać inseratu w tej materji. Czy tu ludzie się wstydzą, ogłaszać tego, że potrzebują, lub mają do wypożyczenia pieniądze? tego już nie wiem, to tylko jest pewnem, że bez pomocy żyda stróża opiekuna naszego nic się nie zrobi.

Jest w tem trochę i winy dziennikarstwa naszego, że inseraty są za drogie, zwłaszcza jak idzie o ogłoszenie sprzedaży, lub kupna rzeczy mniejszej wartości, dlatego pożądaną byłaby w tym względzie reforma, a nawet urządzenie jakiegoś kantoru w centralnem miejscu, któryby inseraty do umieszczenia w różnych pismach krajowych i zagranicznych przyjmował. Tak w interesie pism samych, jako też i potrzebujących, zwracamy na to uwagę, że czas byłoby wyjść z tej pleśni zastarzałej i dawać znać o sobie. Inserat dziś jest bardzo ważnym czynnikiem w stosunkach ludzkich, więc rozwinięcie go i wprowadzenie na szersze tory, jest koniecznością wołającą o nowe życie.

Mniej daleko potrzebną jest dla nas właściwa, rozumowana reklama, jaką naprzykład w tych dniach czytaliśmy o Sasowie i Morszynie, gdzie przyjacielska dłoń nie żałowała wszelkich szczęśliwości, jakich tam przebywający goście doznają. A oto cóż z tego wynikło, gdy zaraz na drugi dzień pewien pan inżynier ze Lwowa, otwarcie i ze wskazaniem adresu swego mieszkania oświadczył, że w dziesięć dni musiał wyjechać z Morszyna i wywieść chorą żonę, bo pobyt tam z powodu braku pierwszych wygód do życia stał się niepodobnym. W takich wypadkach, gdy redakcja pisma reklamę podaje od siebie, powinna być więcej oględną i wymagającą dowodów na fakta, o których pisze, inaczej źle służy czytelnikom swoim, którzy tracą zaufanie do wszystkiego co ona podaje i w błąd wprowadza tych, którzy im zawierzą. Korespondenci naszych dzienników łatwo ulegają życzeniom właścicieli zakładów kąpielowych, którym przecież o nic więcej jak o reklamę nie idzie. Podnosimy tę sprawę dlatego, że słyszeliśmy mnóstwo skarg na niewygody w tegorocznym sezonie u różnych wód krajowych. W ogóle drogo, bez wygód, bez troskliwości o chorych i zdrowych, ale w pismach publicznych wszystko idzie jak z płatka. Powinniśmy protegować krajowe zakłady, żeby pieniędzy nie wywozić za granicę, zgoda; ale niechże te zakłady nie mogąc nam dać wygód odpowiednich, przynajmniej będą tanie. Tymczasem widzieliśmy rachunek dwóch rodzin jednej z Żegiestowa, drugiej z Francesbadu, i dziwna rzecz pobyt i podróż w tym ostatnim wypadły taniej, z czego wypływa, że mało jest dobrych chęci ze strony jadących do wód, lecz potrzeba, żeby i druga strona ciągnąca zyski musiała ocenić te dobre chęci.

Kto ma ochotę z czytelników naszych odwiedzić Pompeę w tysiąc ośmsetną rocznicę zatracenia jej przez lawę Wezuwiusza, może to zrobić za 240 złr. bez jedzenia, a za 380 złr. z życiem i wygodami w pierwszych dniach Września. Pociąg oddzielny wychodzi z Krakowa przez Wiedeń, i całe Włochy, z powrotem odmienną drogą. Wycieczka ma trwać 45 dni i dla tych co mają czas i pieniądze do wydania, stanowić może bardzo przyjemną i pouczającą rozrywkę. Naturalnie nie ręczymy za to, jak ich tam przedsiębiorcy żywić będą i czas podróży uprzyjemniać, lecz sam cel takowej jest bardzo ponętnym, a cena zdaje się nie przesadzona.

Kraków gotuje sie z całą powagą na uroczystość jubileuszowego obchodu I. Kraszewskiego. Utworzył się już tam komitet, który przyjmuje na swoje barki wszelkie trudy całego urządzenia, pomieszczenia gości i kierowania tym niezwykłym dla Polaków obchodem. Sukiennice, przynajmniej wewnętrzne sale mają być na ten czas już gotowe, będzie i bal, i uczta i wręczenie podarunków i mowy i toasty. Ze Lwowa o ile słyszeliśmy wybiera się mnóstwo osób, utworzył się nawet komitet, który wszelkie zgłaszania się przyjmuje, obowiązując się przewodniczyć najazdowi Lwowian na Kraków. Warszawa, zdaje się będzie dość licznie reprezentowaną, pisma illustrowane wysyłają rysowników, poznańskie również się wybiera gromadnie, spodziewać się przeto można, że naród nasz wystąpi z godnością i taktem jak to przystoi na dojrzałą i mającą wszelkie warunki bytu społeczność, zwłaszcza, iż spodziewani są goście i delegaci z obcych narodowości.

Nieudanie się międzynarodowego targu zbożowego w Wiedniu przypisać należy zbyt wygórowanym żądaniom sprzedających, którzy do ostatka trzymali się w cenie. Nasz lwowski jednak tem bardziej ma lepsze szanse, raz że do 15. września już ceny się ustalą, powtóre że poszukiwanem jest żyto, którego kupcy zagraniczni spodziewają się dostać wiele we Lwowie. Dyrekcje wszystkich kolei naszych zniżyły na ten czas ceny jazdy o 33 procent zapewniając bezpłatny przewóz niesprzedanych przedmiotów, co

wszystko razem wziąwszy, daje nadzieję, że ten pierwszy targ galicyjski nie przejdzie bez dodatnich dla nas rezultatów.

Od niejakiego czasu pisma warszawskie, zdaje się przez wdzięczność, że mają tyle w Galicji prenumeratorów, zaczynają coraz więcej zajmować się nami. Pod tym względem pierwszeństwo trzymają „Kłosy", które w ciągu tych kilku miesięcy już drugą zamieszczają podróż do Galicji. Panu Dr. Rollemu za pierwszą daliśmy maleńką odprawę, że z okien wagonu nie poznaje się kraju, jak ze starych regestrów gospodarskich nie pisze się historji nawet o zaściankowej szlachcie z Podola w której tak zagustował. Teraz drugi podobny turysta z Bochni do Nowego Sącza, z wysokości swego wózka którym jedzie, zarzuca naszej szlachcie i duchowieństwu kompletną obojętność dla oświaty ludowej, bo spotykał dzieci pasące bydło, które czytać nie umiały. Szanowny panie turysto, rozliczmy się tylko, coście to wy w Królestwie zrobili dla oświaty w ogóle, a szczególnie ludowej?... Proszę zajrzeć do rachunków naszego obywatela ziemskiego, ile on to płaci na szkoły, policzyć ile w tak krótkim czasie utworzyliśmy własną siłą szkół, ile mamy uczących się w tych szkołach? Jakie i ile potworzyliśmy bibljoteki i podręczne gabinety naukowe, ile wydajemy rocznie na utrzymanie tych szkół i jaki stan materjalny jest naszego kraju, w porównaniu z Kongresówką. Wreszcie policzmy stan naszych funduszów stypendyjnych z dobrowolnych ofiar powstałych, naszych corocznych dodatków na ten cel z funduszów krajowych, ilość naszych instytucji publicznych jak Zakład Drohowyzki, prywatne bursy i inne szkoły fachowe, rzemieślnicze, gospodarskie, leśne, które własnemi środkami zakładamy i utrzymujemy.

A teraz zapytamy was, co wasi obywatele i duchowni dla oświaty ludowej u was zrobili? Jeden jedyny zakład dla małoletnich przestępców, bo szkoły handlowa warszawska, i szkoły techniczne przy drogach żelaznych, są dziełem pierwsza p. Kronenberga, drugie dyrekcji tych kolei.

Wiem, że powiecie mi zaraz: „nam nie wolno, że jesteście krępowani niechęcią Rządu i t. p." A to wszystko nie jest tak, bo wiemy, że istnieje prawo i wolność zakładania szkół i w Rossji i Królestwie własnemi siłami. Setki dzieci u was nie mogą korzystać z nauki z powodu ograniczonej liczby uczniów w gimnazjach rządowych, a mimo to nie tworzycie tych gimnazjów i szkół powiatowych, aby ich tam pomieścić. Dotąd podobno jeden powiat zdobył się na taką szkołę, a te co są w Warszawie jako pensjonaty prywatne, to uważać je potrzeba, jako szkoły czysto spekulacyjne osób trudniących się edukacją młodzieży.

Chcąc krytykować, trzeba zejść z wozu i zajrzeć do sprawozdań Rady szkolnej krajowej, aby zobaczyć, że ta słomka w oku bliźniego, jeszcze nie jest belką, która we własnych oczach siedzi — i że nie godzi się w oczach współbraci z Kongresówki przedstawiać nas jako zacofańców i staro-szlacheckich konserwatystów.

P. Władysław Bełza, redaktor „Towarzysza pilnych dzieci" znany literat i poeta — od 1. Września rozszerza swój dotychczasowy pensjonat dla chłopców uczęszczających do szkół publicznych, spodziewamy się zatem, że wiadomość ta dla potrzebujących, będzie pożądaną, albowiem p. Bełza znanym jest z tego, że z całą troskliwością i zamiłowaniem oddaje się zawodowi wychowawczemu i w ogóle edukacji młodzieży.

Mamy czas piękny od kilku dni i zdaje nam się, że dopiero lato się zaczęło; owoców i to pięknych mnóstwo — zdrowie dobre, a humor nieszczególny, bo jak była bieda tak i jest. Za to pocieszamy się gazeciarską kłótnią Moskali z Prusakami, którzy coraz ostrzejsze dają sobie nauki o wdzięczności za wyświadczone wzajemnie usługi. Zdaje się, że wielki kanclerz niemiecki coś im skrewił i za wiele obiecywał, podobnie jak kiedyś Napoleonowi III w Biaritz... Dobrze im tak jeżeli wierzyli, bo dziś głupi są ci co wierzą, albowiem pognębieni i wyśmiani będą.

* * *

Ktoby był przypuszczał, gdy przed kilku laty pozbyliśmy się z takim mozołem niemieckiego teatru z skarbkowskiego gmachu, że w krótkim przeciągu czasu zło usunięte drzwiami powróci furtką? A jednak tak się stało, a niebezpieczeństwo stałego osiedlenia się niemieckiego teatru we Lwowie jest już faktem nieulegającym żadnej wątpliwości. Zdaje się, że nie potrzeba dowodzić, jak szkodliwy wpływ wywarłaby u nas scena niemiecka szczególnie na ludność izraelicką, która mimo wielkich usiłowań tak powoli pozbywa się germańskiego pokostu. Nie da się także zaprzeczyć, że teatr niemiecki nie przyczyniłby się wcale do podniesienia materjalnego naszej sceny, która i bez żadnej konkurencji z wysiłkiem walczy przeciw apatji publiczności. W obec tego wszystkiego jakże boleśnie musi dotknąć każdego Polaka smutny fakt, że znachodzą się rodacy, którzy wspierają niemieckiego intruza nie tylko przez uczęszczanie na przedstawienia, ale co gorsza subwencjonują formalnie teatr niemiecki przez zakupno akcji na budowę zimowego lokalu przy ulicy Jagiellońskej! Nie jest to już lekkomyślnością, ale jawnym występkiem przeciw narodowi, a czyn taki zasługuje na publiczne napiętnowanie. Spodziewamy się, że zły przykład dany przez kilku ludzi nie posiadających poczucia narodowego i wstydu, pozostanie bez naśladowców, nie zapominajmy zarazem o tem, że teatr niemiecki tylko przy pomocy Polaków mógłby się osiedlić we Lwowie. a więc skoro do tego dopuścimy cała wina spadnie na nas samych. Dosyć już znosimy krzywd i upokorzeń, nie ściągajmy przynajmniej sami na siebie hańby i pogardy, nie nadstawiajmy sami twarzy pod policzek, któregoby nam z pewnością sami nawet Niemcy nie oszczędzili!

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

Za miesiąc Sierpień.

— *Amicis Edmund de.* Wspomnienia z Londynu z oryginału włoskiego przekład Marji Siemiradzkiej 8ka str. 67. Warszawa 1879 ct. 50.

— *Auleitner Ant.* O potrzebie intesywnego leśnego gospodarstwa i zarazem oszczędniejszego obchodzenia się z drzewem w obec kopalń węgla i torfu. 8ka str. 16 Warszawa 1879 ct. 35.

— *Börne Ludwig.* Wybór szkiców i powieści 2 tomiki 16ka str. 89 i 70 Warszawa 1879 po ct. 24.

— *Gloger Zygmunt.* Kujawiaki, mazurki, wyrwasy i dumki pomniejsze ze źródeł etnograficznych i własnych notat. 8ka str. 88. Warszawa 1879 karton ct. 45.

— *Günsberg Rudolf.* Podręcznik o wyrobie spirytusu. 2 części z 112 w tekście zamieszczonemi drzeworytami. 2 tomy wielka 8ka. str. 281 i 200. Lwów 1879 złr. 8.

— *Heine Henryk.* Obrazy z podróży. 2 tomy 16ka str. 92. i 50. Warszawa 1879 po ct. 24.

— *Hoszowski J.* Egon. Dramat w pięciu aktach 8ka 154. Lwów 1879 ct. 70.

Jażdżewski Władysław. Wykopalisko Jarocińskie a mianowicie monety Bolesławów czeskich Poznań 1879 3. zł.

— *Jokay Maurycy.* Czarne djamenty. Powieść. Z upoważnienia autora przełożyła A. Callier 2 tomy 8ka str. 295 i 272. Warszawa 1879 zł. 2 ct. 50.

— *Kempiński Maksymiljan.* O wrażeniach fizjognomicznych. Odczyt publiczny. 8ka str. 40. Warszawa 1879 ct. 50.

— *Kodeks dyplomatyczny* wielkopolski obejmujący dokumenta tak już drukowane jak dotąd nie ogłoszone, sięgające do roku 1400 wydany staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego 3 tomy 4o str. 589. 629. 789. Poznań 1879 każdy tom po zł. 7 ct. 20.

— *Lam Jan.* Pan komisarz wojenny, powiastka 8ka str. 63. Lwów 1880 ct. 50.

— *Lam Jan.* Spisek w Bedford-Row. Nowella według W. M. Thackeraya 8ka str. 61. Lwów 1880 ct. 50.

— *Macaulay.* Szkice krytyczne i historyczne. Tom I. John Milton. 16ka str. 83. Warszawa 1879 ct. 24.

— *Musset Alfred.* Karmozyna. Dramat w trzech aktach z francuskiego 16ka str. 84. Warszawa 1879 ct. 24.

— *Powieści* przez autora zamku Kaniowskiego (Seweryna Goszczyńskiego) 2 tomiki 16ka str. 48, 98. Warszawa 1879. po 24 ct.

— *Sobolewski Romuald.* Choroby zaraźliwe wspólne ludziom i zwierzętom. 8ka str. 334. Warszawa 1879 zł. 2. ct. 50.

— *Szekspir Wiliam.* Zimowa powieść (Winters Tale). Dramat przełożył G. Ehrenberg. 16ka str. 126. Warszawa 1879 ct. 24.

— *Tarczyński Hip. Bog.* Zwierciadło towarzyskich nieprzyzwoitości naszych do użytku wszystkich którzy ludźmi być pragną. 8ka str. 105. Lwów 1879. ct. 50.

— *Tatomir L.* Dzieje Polski w zarysie. Dla klas wyższych szkół średnich, seminarjów nauczycielskich i prywatnych zakładów naukowych 8ka str. 331. Lwów 1879 zł. 1 ct. 40.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** I obce piśmiennictwa czcić będą jubileusz J. I. Kraszewskiego.

Z wczorajszej „Pressy" wiedeńskiej dowiadujemy się, iż poważna firma księgarska R. Waldhoeima w Wiedniu gotuje ozdobne wydanie znanej powieści Kraszewskiego „Mistrz Twardowski," (Der polnische Faust).

Przekładu dokonał literat niemiecki Hans-Max. „Presse" mieni wydanie to podarunkiem jubileuszowym (Festgabe).

*** Druk „Starej Baśni", wydania jubileuszowego firmy Gebethner i Wolff, postępuje.

Powieść ta Kraszewskiego mieć będzie niezwykle wspaniałą wyprawę dzięki znamienitym rysunkom Andriolego i typografji ungrowskiej.

*** Podobno znakomity nasz matematyk, dr. Żmurko, prof. uniw. lwowskiego, przygotowuje do druku nową pracę matematyczną, w której poda graficzne sposoby rozwiązywania równań dotąd powszechnie za nierozwiązalne uważanych.

*** W Lille w Francji wyszło obecnie trzecie wydanie książki napisanej przez hr. Drohojewską (z domu Simon de Patreste) p. t. „Une semaine à Cracovie".

*** W drugim zeszycie pisma „Russkij Fiło-

logiczeskij Wiestnik" znajdujemy artykuł p. Makuszewa p. t. „Odczyty o dawnem piśmiennictwie polskiem".

*** W Londynie wkrótce ukażą się w druku listy Karola Dickensa; obejmują one perjod 37-letni, od roku 1833. do 1870.

*** Pan Konstanty Kieniewicz, w podróżach swoich ku ujściu Wołgi, pozbierał liczne zabytki dawnej przeszłości mongolskiej i przedmioty dzisiejszego użytku kirgizów, koczujących w tamecznych okolicach.

Niektóre z tych przedmiotów, np. olbrzymie urny ślicznego kształtu, lub mozajki używane do ozdoby budownictwa świadczą, że kunszta za czasów Złotej Hordy stały tam bardzo wysoko, nim wszystko spadło później na szczebel dzikości.

Przedmioty archeologiczne i etnograficzne, przywiezione przez siebie do Warszawy, p. Kieniewicz ofiarował akademji umiejętności.

Niektóre z nich, o ile nam wiadomo, były fotografowane w zakładzie p. Fajansa w Warszawie.

*** Moskiewski kongres antropologiczny zakończył swoje obrady; obcy delegaci rozjechali sie.

*** W Sheffield zebrał się czterdziesty dziewiąty meeting Towarzystwa brytańskiego, dla rozwoju umiejętności; przewodniczy obradom Allman.

Prasa perjodyczna.

*** Z dniem 1. grudnia przybędzie Warszawie nowy specjalny organ piśmiennictwa.

Ma on nosić nazwę „Kroniki Lekarskiej" a co do treści i zadania odpowiadać będzie istniejącym już zdawna w Niemczech, Francji i Anglji przeglądom, streszczającym w sobie wszelkie najnowsze zdobycze na polu nauki, oraz podającym w skróceniu ważniejsze artykuły zamieszczane w innych specjalnych lekarskich pismach, broszurach i dziełach.

Będzie to zatem wydawnictwo wielce pożyteczne dla lekarzy, praktyków szczególniej, nie mających czasu na szczegółowe wertowanie prac naukowych, rodzaj informatora wykazującego wszelkie ważniejsze prace w każdej specjalnej gałęzi wiedzy medycznej i objaśniającego, gdzie szukać należy dokładniejszych danych.

Aby iść w ślad za postępem nauki, „Kronika" wychodzić będzie zeszytami co dwa tygodnie.

Zamieszczać ma także artykuły wstępne z dziedziny medycyny.

*** Rząd serbski odmówił wiedeńskiej „Presse" debitu pocztowego.

*** Trzy bonapartystyczne pisma prowincjonalne: „Nivernais", „Montblanc" i „Mont Cenis", przestały wychodzić z braku środków.

*** Don Carlos wystąpił z apelacją przeciw wyrokowi sądu poprawczego, uwalniającemu od wszelkiej odpowiedzialności dzienniki „Republique française" i „Gaulois".

*** W Eisenach dnia 30. sierpnia odbyć się ma wiec niemieckich dziennikarzy.

*** Podług ostatniego, mniej więcej dokładnego spisu, wychodzi obecnie na całej kuli ziemskiej dzienników 22.291.

Europa liczy ich 13,625, Azja 387, Afryka 50, Australja 100, Ameryka 9,129.

W tem Anglja ma 2,509, Francja 2,000, Włochy 1,226, Austrja 1,300, Rossja wraz z Królestwem Polskiem 500 dzienników.

Pokaźna armja!

*** Liczba dzienników i przeglądów wychodzących w 22 kantonach szwajcarskich wynosi 519, z których 249 dzienników politycznych, 20 literackich, 39 religijnych itd.; najwięcej wychodzi gazet w Bernie, gdyż 71, w Zurichu 68, najmniej w kantonach Glaris i Uri.

Sztuki piękne.

*** Zakład narodowy imienia Ossolińskich otrzymał od rodziny Józefa Korzeniowskiego biust z marmuru białego, dłuta Sosnowskiego, wyobrażający znakomitego powieściopisarza.

*** Żupański przystąpił do wydania własnym nakładem wielkiej kantaty B. Dembińskiego „Pieśń o ziemi", dedykowanej Kraszewskiemu i przeznaczonej do wykonania podczas uroczystości jubileuszowej.

*** Pan Aleksandrowicz (Alessandrini), artysta-spiewak i nauczyciel spiewu, który wykształcił we Włoszech wielu adeptów sztuki wokalnej przybył do Warszawy i zamierza tam osiedlić się stale.

*** Monachijską wystawę sztuk pięknych zwiedziło dotąd 48,000 osób.

*** W Berlinie w tych dniach otwarto nowe muzeum sztuk pięknych.

Teatr.

*** Lecoq pisze nową operetkę p. t. „La femme aux deux coeurs"; libretto jest pióra panów Dennery i Gille.

*** *Evénément* donosi, iż panna Józefina Reszkówna ma wrócić do opery paryskiej.

Układy z p. Vaucorbeil podobno ponownie zawiązane.

*** Londyński teatr Gaité oddany został wyłącznie na użytek trup francuskich.

*** W Berlinie krąży wieść o śmierci znakomitej śpiewaczki Karoliny Lucca.

*** W Cagliari, w stolicy wyspy Sardynji, spłonął niedawno teatr. Pomimo śpiesznej pomocy nie zdołano nic uratować z wewnętrznego urządzenia teatru. Spłonęła też bibljoteka teatralna, garderoba i instrumenta muzyczne. Ogień wynikł wskutek nieostrożności przy przedstawieniu baletu z oświetleniem bengalskiem.

*** Podczas przedstawienia w teatrze Folie-Bergère, na którem produkowano cztery lwy, lwica rzuciła się na pogromcę p. Bellam, Publiczność przestraszona poczęła krzyczeć: dosyć! dosyć! Wreszcie nie bez trudności udało się pogromcy wyjść z klatki rozjuszonych lwów. Zbroczony krwią, ukazywał się po dwakroć pogromca, przywoływany oklaskami publiczności.

*** Panna Klotylda Loisset, piękna i śmiała amazonka hamburskiego cyrku, zostaje małżonką księcia Henryka v. Reuss, poczem młoda para udaje się na dwór bułgarski.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Wspominaliśmy już, że w Karlsbadzie, w ścianie frontowej domu, w którym mieszkał przed 50 latami Mickiewicz, ma być umieszczony medaljon z jego podobizną.

Otóż obecnie dowiadujemy się z pewnego źródła, że sprawą tą zajął się serdecznie Kraszewski i rozpoczął już korespodencję w tym przedmiocie.

Prawdopodobnie na wiosnę przyszłego roku medaljon zajmie już naznaczone sobie miejsce.

Dr. Hassewicz przyjął także współudział w przypilnowaniu roboty na miejscu i przedsięwzięciu stosownych kroków, ażeby pamiątkowe to dzieło ochronić od wypadkowego zniszczenia, a to w razie przebudowania domu etc. etc.

*** *Dom Kościuszki* w Solurze został po śmierci jego właścicielki, panny Zuzanny Amelii Thomas, Angielki zmarłej w kwietniu 1878. roku sprzedany. Nabył go na licytacji publicznej Bank pomocy (Huelfs-Bank) za cenę 53 tysięcy franków i sprzedał za 75 tysięcy franków. Na domu tym znajduje się marmurowa tablica wmurowana w roku 1864 z napisem, przypominającym, że Kościuszko tu mieszkał i umarł. Po Kościuszce dom przeszedł na własność Zeltnerów. Przed rokiem 1830. nabył go Anglik Thomas, po jego śmierci właścicielkami zostały dwie jego córki, z których ostatnia zmarła w przeszłym roku.

Angielska ta rodzina, ceniąc pamiątki bohatera, utrzymywała w wielkiem poszanowaniu pozostałe po nim pamiątki. Pomiędzy niemi było łóżko, na którem zmarł Kościuszko. Nad łóżkiem w alkowie wisiał portret Kościuszki, zawieszony tam przez Polaków 1843. z odpowiednim napisem.

Przy sprzedaży domu sprzęty pamiątkowe zostały nabyte przez muzeum w Rapperswyl. Tym sposobem uratowano łóżko śmiertelne bohatera, zrobione z dębowego lakierowanego drzewa w stylu francuskim z pierwszych lat bieżącego wieku, obicie pokoju sypialnego Kościuszki z jedwabnego adamaszku w pasy białe i czerwone, szachy, któremi grywał Kościuszko z notarjuszem Amietem, ojcem żyjącego notarjusza. Dalej muzeum nabyło przycisk do papieru własnej roboty Kościuszko.

*** Komitet jubileuszowy, prócz uczty, w której wezmą udział sami tylko mężczyzni, postanowił urządzić nazajutrz ku czci Kraszewskiego świetny bal w nowoodrestaurowanych Sukiennicach. Na pamiątkę pobytu Kraszewskiego w Krynicy stanie tam ozdobna ławka z popiersiem jubilata, pomysłu Gersona, jak również wmurowaną będzie w domu, w którym Kraszewski przemieszkiwał, tablica marmurowa.

*** Obywatele księstwa poznańskiego ofiarują Kraszewskiemu złoty medal na jego cześć wybity i stosownym łacińskim napisem zaopatrzony.

*** Rada municypalna paryska udzieliła komitetowi zajmującemu się wzniesieniem pomnika dla Berangera 1,000 franków, oraz pozwolenie umieszczenia posągu poety ludowego w ogrodzie du Temple.

*** W Coni odsłoniono posąg marmurowy, wzniesiony ku czci głośnego prawoznawcy i byłego ministra piemonckiego Józefa Barbaroux; mowy wypowiedzieli: kanclerz włoski i syndycy Turynu i Coni.

*** Prefekt Sekwany polecił zmianę nazw 43 ulic paryskich; tylko bulwar Haussmana, ulica Cambacérès i Bonaparte mają zatrzymać dotychczasowe nazwy.

*** W Guidehall otwarto kongres stowarzyszenia dla reformy i kodyfikacji praw ludu: mowę zagajającą wypowiedział prezydent Philhmore.

*** W Strasburgu z rozkazu prezydenta Niższej Alzacji mają być rozwiązane trzy towarzystwa gimnastyczne, za urządzenie demonstracji podczas uroczystości Thiersa w Nancy.

*** Sąd poprawczy w Nicei skazał za przekupstwo wyborców księcia Rivoli na 3.000 franków grzywny, a jego ajentów Auquier'a, Alziari'ego i Dalmasa, pierwszego na miesiąc, dwóch zaś następnych na 14 dni więzienia.

Wynalazki i odkrycia.

*** Z Melbourne *Argus* donosi, iż odkryto bogate pokłady złota na brzegach Piemanu, na zachodzie Tasmanji.

Podróże.

*** Parowiec „Nordenskjöld" wyprawiony z Gothenburga przez pana Sybirjakowa z Petersburga, w celu przyniesienia pomocy płynącemu przez morze Lodowate profesorowi Nordenskjöldowi, przepłynawszy w. d. 8. czerwca r. b. kanał Suezki, przybył w dniu 28. lipca do Yokohamy, zkąd w dniu 10. sierpnia udał się w dalszą podróż ku wschodnim wybrzeżom Syberji.

Handel i przemysł.

*** Wystawa powszechna w Sidnej otwartą zostanie dnia 17-go września r. b.

*** Urządzona w Londynie niedawno przez Royal Agricultural Society gospodarcza wystawa spowodowała 10.000 funtów szterlingów strat dla towarzystwa.

Statystyka.

*** Według danych urzędowych, w roku ubiegłym na kolejach angielskich skutkiem nieszczęśliwych wypadków utraciło życie 1053 osób, a 4007 odniosło uszkodzenia. Z ogólnej tej liczby było 125 zabitych, a 1752 ranionych pasażerów, do służby kolejowej należących było zabitych 544 i 2003 ranionych. Wskutek zaś nieprawnego wejścia na szyny i rozmyślnego samobójstwa utraciło życie 384 osób, a 252 odniosło uszkodzenia. W ciągu upłynionego roku poniosło śmierć wskutek właściwych wypadków kolejowych 24 pasażerów, a ranionych było 1173 osób. Liczba nieszczęśliwych wypadków w porównaniu z latami poprzedniemi zmniejszyła się znakomicie.

*** Z wykazów urzędowych widać, iż w roku 1878 podatek dochodowy w Wielkiej Brytanji przyniósł skarbowi sumę 131,980.647 funtów szterlingów a zatem o 1,154.000 funtów szt. więcej niż w roku poprzedzającym.

*** Kanał suezki przepłynęło w roku ubiegłym w ogóle 1551 okrętów, z pakunkiem ważącym 2,178,316 tonn; z 1550 okrętów było 1227 angielskich, 89 francuskich, 71 holenderskich, 41 włoskich, 38 austrjackich, 22 niemieckich, 21 hiszpańskich, 8 egipskich, 8 japońskich, 6 duńskich, 5 szwedzke-

norwegzkich, 4 portugalskich, 3 tureckie, 2 belgijskie, 2 amerykańskie i 1 zanzybarski.

*** Paryski „Journal officiel" ogłasza urzędowe dane, dotyczące obrotów handlowych Francji w pierwszych siedmiu miesiącach r. b.; przywóz w przeciągu tego czasu, w porównaniu z odpowiednim perjodem roku 1878, podniósł się z 2345 na 2627 miljonów, a wywóz zmniejszył się o 1783 miljonów franków.

*** Według danych urzędowych, w przeciągu pierwszej połowy roku bieżącego wywieziono z Galicji 31,527,000 jaj; Po większej części wysłane one zostały do Niemiec.

*** „Italie" podaje, iż dochód z loterji we Włoszech w roku 1878 przyniósł sumę 26,318,138 fr.

*** Jedna jaskółka, według wieloletnich badań przyrodnika francuskiego p. Florent-Prevost, zjada codziennie w przecięciu 466 owadów, mianowicie w miesiącu kwietniu od 300—750, w maju od 300 do 700, w czerwcu od 250—600, w lipcu od 400 do 500, w sierpniu około 600 owadów.

Cyfry te wymownie świadczą o użyteczności owych „zwiastunów wiosny."

Zjawiska przyrody.

*** W Genewie niesłychanej mocy trąba wodna nawiedziła w dniu 15 b. m. okolicę, poczynając od jeziora Genewskiego do Jury. Miasteczka Divonne, Crassier, Borrex i Arnex, szczególniej ucierpiały. W przeciągu kilku minut, domy, łąki, ogrody, pola, wszystko stało pod wodą. Woda wyrwała kilkaset drzew, unosząc je z prądem. Utonęło też kilka osób. Szkody wielkie.

*** Podróżni przybyli w zeszłym tygodniu z Warszawy opowiadają, iż na drodze pomiędzy Piotrkowem a Częstochową zauważali spadający dość gęsto... śnieg!

Małe te, białe płatki, ścielące się na zielonych jeszcze zagonach, przejęły przypadkowych obserwatorów przykrem uczuciem...

Nie jest to jednak zjawisko odosobnione.

Donoszą właśnie, iż w kilku przyległych Królestwu guberniach Cesarstwa spadł śnieg wcale obfity.

*** Na dolinę Hammerstein nad Renem stoczyła się w tych dniach z kamieniołomu w górach tysiąccentnarowa bryła, zrządziła ona sztraszliwe spustoszenia, zburzywszy nasyp kolei żelaznej, telegrafy i gościniec rządowy.

PIĘKNA ZBRODNIARKA.

D. 11 b. m. rozpoczął się w Aix proces przeciw kobiecie, która dopuściła się zbrodni potrójnego morderstwa.

Proces ten więcej obecnie zajmuje Francję, aniżeli wszystkie pytania polityczne danej chwili, aniżeli swary pomiędzy obu zapaśnikami o wolność nauczania we Francji: gnębiącym kler katolicki p. Ferrym i broniącym go, starym apostołem wolnego słowa, Juljuszem Simonem.

Oskarżenie o potrójne morderstwo zwraca się przeciw kobiecie czarującej piękności, nazwiskiem Baptystynie Faret z Lambesc, małej mieściny w departamencie Aix.

Piękność oskarżonej ma upajać oczy...

Baptystyna należała do czcigodnej rodziny i odebrała należyte wychowanie, od dziecięcych lat okazując już gorącą żądzę swobody i niezależności; tłum wielbicieli, oświadczających się o jej rękę, odprawiała nielitościwie, twierdząc, że nie pragnie wyjść za mąż.

Złe języki w Lambesc szeptały wprawdzie na ucho o eleganckich awanturkach młodego dziewczęcia, co usprawiedliwiało po części wstręt Baptystyny do małżeństwa.

— Nie chce oszukać uczciwego człowieka — mawiali jedni.

— Kocha swobodę i nie chce się dać skrępować — odpowiadali przychylniejsi jej.

Tem większem było zdziwienie, gdy nagle zapowiedziano związek ślubny pięknej Baptystyny z Bartłomiejem Philip.

Szczęśliwy narzeczony, który miał posiąść jedną z najcudowniejszych istot na świecie, był to chłopak dobroduszny, zacny, tęgi i rosły, jak dębczak.

Długo wzdychał on melancholijnie do księżyca, zanim prośby jego zostały wysłuchane przez Baptystynę.

Owe „złe języki" twierdziły, że na postanowienie tej niesfornej „piękności" wpłynęły raczej poufałe stosunki jej z wujem Bartłomieja, Laurentym Philip.

Laurenty był człowiekiem żonatym, znanym w okolicy „smakoszem życia".

Miał on stosunek romantyczny z ciotką Baptystyny Magdaleną Faret, i w pomieszkaniu ostatniej znalazł śliczną dziewczynę, w której żyłach płynęła także gorąca krew ciotki.

Pokochawszy ją a pragnąc, żeby mu jej nie odebrał jaki młody a umiejący strzedz swojej własności wieśniak, Laurenty wydał ją za siostrzeńca.

Na wiosnę r. 1870 odbyło się wesele: miodowe miesiące przeszły rozkosznie.

Nie było ani jednej chmurki na horyzoncie, a młody Philip widział szczęście swoje w różowych kolorach.

Ale smugę marzeń jego przerwała wojna.

Musiał udać się do armji.

Pani Philip odosobniła się po wyjeździe męża od całego świata, nie przyjmowała żadnych odwiedzin, a wreszcie dla rozrywki udała się w podróż.

We wrześniu opuściła Lambesc, w końcu październiku wróciła.

Przyjaciółka, wychowanica starej, ciężką chorobą od dawna przykutej do łoża wdowy, zaproponowała jej, ażeby poświęciła się czuwaniu nad chorą, a pani Philip chętnie zgodziła się na to.

Z końcem lutego 1871 roku objęła ten samarytański obowiązek u wdowy Martin, a dnia 10. marca umarła chora.

Nagła jej śmierć wywołała niejaką sensację, ale doktór, który dnia 9 marca po czterykroć nieboszczkę odwiedzał, twierdził iż śmierć była naturalną.

W kwietniu Bartłomiej powrócił z pola walki i objął znowu służbę w olejarni, którą dawniej piastował.

I jeszcze nie widać było chmurek na horyzoncie małżeńskim — Bartłomiej wyrażał się o swej żonie jak kochanek, ona wynagradzała czułością jego uczucie.

Laurentego przyjmowano zawsze gościnnie i serdecznie.

Dopiero w roku 1876, położenie zmieniło się.

Wuj owdowiał i wyraził chęć mieszkania w domu siostrzeńca.

Bartłomiej byłby niezwłocznie do życzenia wuja się przychylił, gdyby tenże w ostatnich czasach nie począł oddawać się nazbyt nałogowi pijaństwa; uczynił on jednak wujowi inną propozycję, którą tylko człowiek oślepiony miłością uczynić może.

— Baptystyna będzie wuja codzień odwiedzać i dom twój w wzorowym porządku utrzymywać.

Ten układ rzeczy nie zadawalał jednak Laurentego, uskarżał się on na osamotnienie i począł mówić coraz częściej o wejściu w powtórne związki małżeńskie.

Baptystyna starała się go pocieszać i zapraszała do własnego domu na wieczerze, podczas kiedy Bartłomiej pracował do późnej nocy w swej fabryce.

Pewnego wieczora wuja, powracającego po takiej wieczerzy do domu, napadły w drodze straszne boleści.

Nazajutrz zrana wezwano doń lekarza, w południe notarjusza, a wieczorem Laurenty wyzionął ducha.

Młodzi małżonkowie odziedziczyli cały jego majątek...

I ta śmierć wywołała w miasteczku sensację, ale doktor skonstatował napad apoplektyczny, a młoda pani Bartłomiejowa wydawała się w żalu niepocieszoną.

Ilekroć w przytomności jej mówiono o śmierci wuja, mdlała.

Naturalna jednak żywość Baptystyny zwyciężyła niebawem jej smutek.

A do tego, małżonek nie zaniedbywał niczego, coby mogło uśmiechem szczęścia opromienić jej życie.

Co niedziela w lecie wywoził on swoją żonę na wieś, a w zimie przepędzali wieczory w kawiarni miejscowej.

W dniu św. Sylwestra r. 1878. spędzili małżonkowie całe popołudnie i wieczór w kawiarni.

Późno już bardzo powrócili do domu, a nazajutrz Bartłomiej miał wcześnie udać się do fabryki.

Z uwagi na to Baptystyna przyrządziła mu jeszcze w kawiarni czekoladę, ulubiony jego napój; nazajutrz wziął Bartłomiej ze sobą czekoladę i kawał chleba do fabryki.

Ale zaledwie pierwszy haust połknął, uczuł gwałtowne dreszcze i padł na ziemię...

Towarzysze zanieśli go co prędzej do domu — po kilku godzinach nie żył...

Lekarz skonstatował znowu zgon naturalny.

Tym razem jednak opinja publiczna w Lambesc nie pozwoliła się ukołysać...

Powstał otwarty tumult, poczęto mówić powszechnie o morderstwie.

Sąd wdał się w sprawę, a ponieważ wyśledzono, iż przed śmiercią wdowy Martin z mieszkania jej znikła znaczna ilość papierów wartościowych, wdrożono nareszcie surowe śledztwo.

Trupy Bartłomieja, Laurentego i wdowy Martin wydobyto z ziemi, a śledztwo okazało, iż wszystkie te trzy osoby zostały otrute arszenikiem.

Teraz poczęły się rozwiewać niektóre tajemnice.

W r. 1869. wstąpiła Baptystyna dla uwolnienia się z pod władzy rodziców, w służbę pewnego doktora, p. H. Girard; tam miała swobodny przystęp do puszki z lekarstwami, i tam zaopatrzyła się w sporą dozę trucizny na różne wypadki życia.

Sąd wyśledził także powód tajemniczej podróży Baptystyny w jesieni w r. 1870.

Świeża podówczas mężateczka miała zostać matką przed czasem, a ponieważ obawiała się męża, pojechała do Marsylji.

Potrójna morderczyni zaprzecza stanowczo, z wyrazem najczystszej niewinności, jakoby w jakimkolwiek stała związku z którąkolwiek z trzech zbrodni.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. F. W. G. we Lwowie: Wiersze p. t. Samotny, Ahaswer, Trwoga, Ona, nie mogą być drukowane w Tygodniu.

P. G. A. w Kołomyi: Wiersz p. t. Sto tysięcy, nie może być drukowany.— Drobnych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Najmocniej przepraszamy Szanownych czytelników za nieporządki jakie zaszły z drukiem powieści UKRYTE SKARBY. Nieporządki te zaszły z przyczyn zupełnie od Redakcji niezależnych i poczyniliśmy stanowcze kroki aby coś podobnego w przyszłości miejsca nie miało.

„Rekakcja."

Treść Nr. 31.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.